№ 5. Warszawa, dnia 21 Stycznia (2 Lutego) 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Ave Marya.

JUTRZENKA.

Mojej Matce!

Na pół-księżycu, stoi Madonna
Jak lilia biała, jak róża wonna.
Nad czołem siedem gwiazd złotych świeci
I łzawo patrzy na ziemskie dzieci.
U stóp Jej szatan walczy z Aniołem.
. . . .
Gwiazdy — nie zgasną ponad jej czołem.

* * *

Królowo światów — Niepokalana!
Za pacierz ziemski, kwiaty i blaski,
Za tę modlitwę z nocy i z rana,
Łaski! o łaski!...

* * *

Niech brat przestanie udręczać brata,
Niechaj nienawiść zniknie ze świata.

* * *

Złota Jutrzenko, święta Panienko,
Na klęczkach smutny śpiewak Cię błaga,
Niechaj się zbudzi w ludziach odwaga,
I w duszach wiara i miłość w sercach
Opamiętanie w szydercach...

* * *

Na pół-księżycu stoi Madonna,
Jak lilia biała, jak róża wonna,
I chór Cherubów, nuci radośnie
Z słowików chórem pieśni o wiośnie.

* * *

Królowo kwiatów, daj Matce mojej
Wszystko co trzeba, daj z łaski swojej.

Miron.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział XIII.

Z Frankiem dziwne działy się rzeczy; z pod skóry twardej, szorstkiej i nieokrzesanej, wydobywał się nowy człowiek niepojmujący zmiany i powodów ją sprowadzających. Zastanawiał się, przecierał, Klarka i Zosia na wpół sennem poznane marzeniu stały zawsze na szczycie niewysłowionego niczem uroku, a jeżeli Klarce oddawał pierwszeństwo, to więcej z przyzwyczajenia, z większej łatwości zbliżenia się do niej, jak z dopatrzenia jakiej różnicy między jedną jak drugą. Obie zarówno były dla niego drogie, obie nie kochał ale uwielbiał jako urzeczywistnienie ideału w duszy bezwiednie powstałego. Był to wypływ poetycznego uniesienia, zbyt żywo działającej wyobraźni, umiejącej wszystko przystroić pięknem od poczucia którego nikogo wyłączać nie można. Zapał poetyczny, zdolności, talenta, nawet genialność, nazywamy darami natury pojmując, że nie uposaża niemi wola ludzka ale wyższa z klasyfikacyą ludzkich podziałów nie mająca najmniejszego związku. Dla czegóżby więc Franek z pod tego prawa miał być wyłączony?

Był też na wskroś uczuciem poetycznem przesiąknięty, a nie umiejąc wylać go w słowie, marzył w prostocie ducha w wyżynach do jakich wznieść się był zdolny. Pierwsze ocknienie, sprawiła książka z której dowiedział się o zaklętych księżniczkach i wiślanych syrenach. Uwierzywszy w ich rzeczywistość, ujrzał świat nowy dotąd mu nieznany, świat duchów i nadprzyrodzonych istot, w którym bujając z całą swobodą, mógł już przypuszczać wszystko, bez względu na przesadę i zbytnią fantastyczność. Korzystał też z tego bez żadnego ograniczenia.

Poznawszy Klarkę i Zosię, nie wątpił na chwilę, że marzenie jego czy sen było proroczem, i że w dwóch owych ziemskich dziewicach ma aniołów przez Boga na ziemię dla jego opieki zesłanych. W jaki zaś to mogło się odbyć sposób, nad tem się nie zastanawiał: wierzył i był szczęśliwym, pojmował że z ludźmi ma do czynienia ale był przekonany, że w tych ludziach spoczywa wola Boża której posłusznym bezwarunkowo bydź powinien.

Pomału jednak pierwszeństwo oddał Klarce. Bydź posłusznym jest to zrzec się własnej woli i zaufać mędrszej a więc silniejszej od własnej. Takiej Zosia nie miała a taką posiadała Klarka, wodząca rej w domu i wszystkich gnąca według swego rozporządzenia. Franek uległ jej także, każde słowo co wyrzekła było dla niego rozkazem. Każdą przestrogę, najmniejszą uwagę zatrzymywał w pamięci, zastanawiał się, rozważał; grzeczność ujmowała go, delikatność wyrażenia zachwycała, zgrabne ruchy i uśmiech nęciły i starając się to wszystko naśladować, spełniać, zmieniał się szybko lękając się nawet myślą spełnić błąd godny skarcenia. Raz Klarka z oburzeniem wyraziła się o wódce, wyrzekł się jej natychmiast i bywania w szynku. Później połajała go za jakieś nieprzyzwoite wyrażenie, stał się zaraz baczniejszym w mowie i każdą chwilę spoczynku poświęcał czytaniu. W tym wewnętrznym procesie często stawały mu w myśli postacie panny Katarzyny, pani Adamowej, niewidomego kaleki i Prospera

i zapytywał sam siebie, co to za ludzie tak dobrotliwi? Co to biednego kalekę i starowinę w śmietniku grzebiącą tak uszczęśliwia? Co za powód opieki i współczucia, jakich od nich tak bezinteresownie doświadczył?

— Polubili mnie: myślał sobie, ale dlaczego, kiedy mnie przedtem nie znali. Byłem chorym, osłabionym, biedę w jaką wpadłem sam na siebie sprowadziłem, gdyby wiedzieli o tem zapewneby mnie odepchnęli. Przy tej uwadze przypomniał sobie słyszane nauki o miłości bliźniego. Teraz dopiero zrozumiał je należycie, pojął to co dotąd znał tylko z brzęku słów i tak idąc od myśli do myśli, coraz więcej nabierał wstrętu do przeszłości, w której za niejedno postąpienie czuł że się wstydzić powinien. Wypadek też z kupą śniegu i to co było jego powodem, postanowił zataić raz na zawsze, aby brzydząc się postępkiem tak go wstydzącym, równego obrzydzenia nie wywołał w osobach, których życzliwości tak pragnął i tak wysoko cenił. Klarka też ani się domyślała, że Franek jest tym, którego prawie uratowały od śmierci, a nawet dowiedziawszy się z fałszywej pogłoski że umarł, zupełnie zapomniała o wypadku i ani razu o nim nie wspomniała.

Przenikliwości jej jednak nie uszła szczególna życzliwość Franka; z początku brała ją za wypływ grzecznego z nim obchodzenia się, później jego mieszanie się przy rozmowie, gotowość spełnienia najmniejszego rozkazu nawet życzenia, a nadewszystko wlepione w nią spojrzenia, szukanie jej oczów, radość, gdy go obdarzyła miłym uśmiechem, nasunęły jej domysł, że powodem tej życzliwości Franka jest uczucie, którego nazwać miłością nie chciała. Samo podobne przypuszczenie, już ją rumieńcem wstydu okrywało.

— Cóżby to ludzie powiedzieli, myślała, gdyby się dowiedzieli, że mnie pokochał taki prostak, jakiś nadwiślak bez imienia a nawet rodziców. Oh! aż mnie dreszcze przeszły.

Unikając owego tak poniżającego przypuszczenia, Franek byłby bardzo zdala od rodziny Mikłockich trzymany, ale znajomość z nim wiele im przynosiła korzyści. Gotowy na najmniejsze skinienie, wysługiwał się jak mógł i jak tylko chciały, a co ważniejsza, że znosił drzewo i ryby chwytane w Wiśle. Dary te przyjmowano chętnie, z wielką nawet radością, dziękowano serdecznie, ale nigdy o nie nie przypominano, aby broń Boże nie domyślił się ich smutnego położenia i nie nabrał zbytniego spoufalenia, którego Klarka strzegła się niewymownie. Ten takt w postępowaniu, wprawdzie trzymał Franka zawsze w jednej nieśmiałości, ale urok Klarki podnosił i im ta bardziej otaczała się nieprzystępnością, tym Franek bardziej lgnął do niej, tym więcej myślał o niej i przystrajał w skarby bujnej swej wyobraźni. Jeżeli jednak myśl o małżeństwie przemknęła mu się w głowie jak błyskawica, nikła równie pospiesznie.

— Gdzież mnie prostakowi myśleć nawet o tem, mówił sobie. Biedne są to prawda, ale jaka w nich edukacya, jakie zachowanie. Kiedy mówią między sobą po francuzku, to się ze wstydu o mało nie spalę.

Panny Mikłockie znały ten język cokolwiek, to jest umiały sto słów w różny sposób grupować i popisywać się szczególniej przy osobach z francuzczyzną zupełnie nieobeznanych. Franek należał do nich, Klarka zatem chętnie posługiwała się obcą mową w jego obecności, przyznając w myśli, że to będzie jednym z dość silnych kagańców na porywy miłosne nadwiślanego prostaka, na których ostateczne zniweczenie interes własny nie pozwalał. A jednak ten prostak bezwiednie podnosił się ku niej własną działalnością myśli podsycanej czytaniem, a im więcej rósł w pojęcia przedtem mu nieznane, tym więcej nienawidził Mieczysława, jako głoszącego urywane zdania tak sprzeczne z jego pojęciami i wstrętne dla jego przekonań. Kiedy wreszcie dowiedział się o oświadczeniu Mieczysława, cały wstrząsnął się, krew uderzyła mu do głowy i jak szalony pobiegł na brzeg Wisły, aby przy jej pluszczących falach uspokoić boleść jakiej doświadczył. W samotnem tem dumaniu wróciła rozwaga, wprawdzie wtenczas dopiero poznał jak mu drogą była Klarka, jakiem uczuciem władało jego serce, ale jednocześnie zrozumiał jak był szalonym przypuszczając, że dziewica tak wysoko stojąca w jego przekonaniu, mogła zostać jego żoną.

— Niech się dzieje wola Boża, rzekł sobie w końcu szamocząc się z dręczącemi go myślami. Patyk ten warszawski, tak nazywał Mieczysława, umie mądrze gadać, ale w tem wszystkiem nie ma żadnej poczciwości. Skrzywione to bestyjstwo, a zawsze kwaśne jak ocet, na języki nie dałbym mu rady, ale na pięście stanąłbym górą. Ale zawadyactwa Klarka nie lubi a ja do zwady wielce pochopny, niech więc dzieje się wola Boża, co komu przeznaczone to go nie minie. Zostanę tem czem byłem, bo jakoś czuję że od Klarki oderwać się nie mogę.

Został więc w dawnej swej roli cichej i potulnej, a patrząc i rozważając dostrzegł wkrótce, że serce Klarki dla patyka warszawskiego jest dość obojętne, i że przy najmniejszej sposobności ułożony związek rozerwie się, Antoniego jednak, narzeczonego Frani bardzo lubił, widział w nim jakby odbicie własnego uczucia, był z nim śmielszy, rozmowniejszy i zawsze witał z wielką uprzejmością.

— Otóż to człowiek, mówił do siebie, jak wypada. Franię kocha oczywiście, ale inaczej jak ten wystrugany patyk. Kiedy rozmawia z nią, zdaje się że w oczach świecą mu jakby łzy. U patyka iskrzą się niby skry, a gęba trzęsie się jakby Klarkę chciał ugryźć. W Antonim poczciwa dusza przeziera w każdem odezwaniu się, u patyka rogata, i nawet kiedy śmieje się, to człowiek lęka się czy go nie ukłuje. Antoni bogactwem się nie zaprząta, patyk aż drży za groszem a nie wie, że gdybym nie przyniósł drzewa nad Wisłą złowionego, toby nie było czem zrobić często herbaty, przy której zre serdelki i salceson że aż mu się uszy trzęsą.

To oburzenie Franka na niezaspokojone niczem żarłoctwo Mieczysława, podzielały także i panny Mikłockie, tymbardziej że położenie ich stając się coraz krytyczniejsze, doszło wreszcie do ostateczności. Pomoc rodzinna zjadła się, zarobek z szycia zmniejszył, co tylko było w domu mającego jakąś wartość, poszło na zastaw, a do tego we wszystkich sklepach i sklepikach pozadłużały się, kredyt wszelki ustał i zaległy w opłacie komornego, czego właściciel rzeźnik bardzo nie lubił. Nie widząc już żadnego dla siebie ratunku, a lękając się aby bieda ich nie wyszła na wierzch jak szydło z worka, rozpisały listy do krewniaków, donosząc o bliskiem zamierzonem wyjściu za mąż za ludzi z niezmiernie świetnemi widokami. Opisawszy ich szczegółowo, Mieczysława jako spodziewanego w przyszłości senatora. Antoniego jako domyślnego głównego administratora fabryki, zobrazowali wiernie swoje nieszczęśliwe położenie i prosili o pomoc pieniężną, na zaspokojenie niezbędnych wydatków dla honoru rodu do którego należą, przyrzekając przytem, że z podobną prośbą już się ostatni raz naprzykrzają i że od spełnienia jej zależy los ich i szczęście w przyszłości. Nie wątpiąc o dobrem sercu krewniaków, panny uspokoiły się, a potrzeby domowe łatając jak mogły czekały cierpliwie na odpowiedź, pewne że będzie brzęczącą. Jednego jednak dnia w domu brakło wszystkiego. i po nakarmieniu wieczornem dwóch swoich narzeczonych, nie było ani kawałka chleba, ani herbaty, cukru, świecy, ani mąki, ani kaszy, ani nawet ziemniaków, a co gorsza, nie było nawet jak to mówią złamanego szeląga. Należało się wprawdzie kilka rubli u jednych państwa w Warszawie za robotę dawno dokonaną, ale nigdy wykołatać ich nie mogły i należytość tę uznały za przepadłą. Teraz jednak przygniecione ostatecznością, postanowiły ją wydusić i na egzekutora wysłały matkę, zalecając, aby bez pieniędzy nie wracała i oświadczyła stanowczo nierzetelnym wierzycielom, że z domu ich nie ruszy się bez zaspokojenia rachunku choćby jej przyszło dzień i noc całą przesiedzieć. Do spełnienia tego polecenia pani Mikłocka była jak najzupełniej uzdolnioną, panny nie wątpiły że wyprawa się powiedzie.

Roboty jednak nie były zupełnie pozbawione; zaraz po wyjściu matki zabrały się do pracy w samych spódniczkach, gdyż w jednej sukience poszła matka, a druga świeżo przygotowana była dla Klarki na wieczorne zwykłe zebranie. Mieczysław bowiem na strój był niezmiernie uważającym, Antoni zaś nic się nim nie zajmował, Klarka zatem musiała być zawsze świeżo ubrana, gdy Frania bez obawy mogła swoją sukienkę pożyczyć matce. Trzeciej nie było w domu i zwykle w podobnych wypadkach dość często zdarzających się, pani Mikłocka okrywała się dużą chustką. jako mogąca używać domowej swobody w obecności narzeczonych swoich córek. Klarka dla lepszego osłonięcia braku tak niezbędnej rzeczy, zwykle wymawiała matce opuszczenie i niedbałość, domagając się nawet z pewną natarczywością ubrania się w to, czego wiedziała że nie ma w domu. Naturalnie, pani Mikłocka nie zważała na te napomnienia i gdy Frania, mniejsza bez porównania komedyantka, rumieniąc się spuszczała oczy, Klarka zwracała się do Mieczysława i poruszając ramionami, narzekała na matki upór z wiekiem coraz więcej wzrastający.

W dniu tym pełnym nadziei i ostatecznej ruiny, czas był bardzo ciepły, nawet upał zapowiadający; muchy brzęczały rezolutnie i naprzykrzały się dokuczliwie. Pragnąc więc przed ich natarczywością choć cokolwiek się zasłonić, Frania okryła się serwetą kolorową przy wieczornych zastawach zwykle używaną, a Klarka zarzuciła na siebie kaftan jakiś bardzo stary, z rękawów robiąc węzeł pod szyją. Był to przystrój dość śmieszny i oryginalny, żeby więc przez natręta jakiego nie były podpatrzone, okna firankami szczelnie zasłoniły, drzwi zamknęły na klucz a nawet dziurki w zamkach zatkały szmatkami.

Na kominku było pusto, leżało na nim wprawdzie kilka kawałków drzewa, ale ogień miał bydź dopiero rozniecony z powrotem matki. Mijały jednak całe godziny a pani Mikłocka nie wracała: biedne dziewczęta od chwili wstania nic jeszcze w ustach nie miały, pracowały jednak bez chwili przerwy choć głód coraz bardziej dokuczał i dręczyły myśli coraz smutniejsze i zgryźliwsze.

— Co to jest że mama jeszcze nie wraca? odezwała się Klarka kładąc robotę.

— I mnie to niepokoi, rzekła Frania zaprzestając pracy i jednocześnie spojrzawszy na siostrę roześmiała się z całą szczerotą młodości.

— Ah! jak ty w tym kaftanie zabawnie wyglądasz, zawołała Frania.

— I ty nie lepiej w serwecie.

— Prawda moja droga, jesteśmy podobne do amazonek od sztucznych jeźdźców.

— Ah! gdybym jedną z nich była, odezwała się

Klarka z pewnym rodzajem pognębienia, jakże byłabym szczęśliwą!

— To prawda, potwierdziła Frania płaczliwie, tak walczyć z biedą jak my, to życie brzydnie. Nieraz moja droga o śmierć Boga proszę i wydziwić się nie mogę dlaczego my tak nieszczęśliwe...

— Cicho Franiu, płaczem nic nie zrobimy choć i mnie łzy same cisną się do oczów. Trzeba radzić...

— Ale jak?

— Nie ma rady innej, tylko trzeba wyjść za mąż za naszych gagatków.

— Kiedy i oni biedacy.

— A co nas to obchodzić może? zawołała Klarka podnosząc ramion. Mąż powinien myśleć o potrzebach domowych a nie żona, niech więc myślą kiedy chcą się żenić. Zresztą, cóż nam zostaje innego w naszem położeniu. Gdyby tego niedołęgę Anzelma i starego furfanta Bonawenturę można było jako poruszyć, rozbujać i zachęcić do oświadczenia się, dziśbym z moim adonisem rozstała się.

— Bardzo wierzę, nikt go u nas w domu nie lubi, a Franek nazywa go patykiem warszawskim...

— To bardzo źle że pozwalasz na to. Franek zonadto śmiały i trzeba go trzymać krótko, bo gotów oświadczyć się mnie albo tobie...

— Oh! chyba tobie moja Klarciu, bo on na ciebie zawsze tak spogląda jak Antoni na mnie.

— Czyś to spostrzegła?

— I nie raz jeden.

— A Antoni czy to także uważał?

— Tak moja droga, a nawet powiedział że Franek wart więcej od Mieczysława.

— Wiesz co, że mnie to już niecierpliwi i gdyby nie to nasze nieszczęśliwe położenie, w którem posługi Franka wielce nam są przydatne, tobym mu zabroniła wstępu do naszej kuchni.

— Tobyś źle zrobiła, Antoni powiada...

— Dajże mi już pokój z twoim ciemięgą Antonim, zawołała z oburzeniem Klarka.

— Nie moja droga, nie znasz Antoniego kiedy go tak nazywasz...

— Co — co — co? Czyś w nim zakochana?

— Nie wiem, jak teraz przynajmniej. Wiem tylko to żem głodna i że o Antonim często myślę jako o bardzo uczciwym człowieku.

— Bardzo to pięknie, jest takim bez zawodu, ale pan Bonawentura ma sześć tysięcy pensyi i dochody rozmaite. Ah! gdyby można dwóch tych marudów ściągnąć do nas jak nam od krewnych przyjdą pieniądze. Przyjęlibyśmy ich tak gościnnie, że musieliby się oświadczyć. Jeszcze jedna to próba, ostatnia już, jakże jej pragnę.

— Mnie się zdaje moja Klarciu, że to próżne łudzenie się. Tak dawno u nas bywają a jednak postępowania swego w niczem nie zmienili.

— Bośmy się zanadto od nich trzymały zdaleka. Starzy tego nie lubią, trzeba więc zmienić taktykę, przybrać inną a zaręczam ci, że za pierwszą bytnością rozwiążemy im usta.

— To na nic się nie zdało!

— Ale spróbować nie zawadzi.

— Pocóż rozpoczynać?

— Więc gwałtem mam zostać panią patykową! zawołała z oburzeniem Klarka, jak nazywacie Mieczysława. Ten nie ucieknie a...

— A jak ucieknie?

— To go gonić nie będę, wreszcie zależy to wszystko od zręczności, aby jednego nęcić a drugiego nie zniechęcać...

— Ale to szkaradne, brzydkie, nawet... podłe.

— Prawda moja Franiu, ale powiedz co mamy robić? Wszak pracujemy jak woły i nic nie możemy wypracować. Codzień brak większy, wreszcie wszystkiego braknie, nawet dachu nad głową, mamże się więc utopić?

— Oh! to prawda, Bóg nas wyraźnie opuścił...

— I ja tak nieraz myślę, bo tak żyć z dnia na dzień, tak się męczyć i dręczyć, tak się niepokoić i wiecznie suszyć głowę nad ratunkiem, to prawdziwe męki piekła, do zniesienia których już mi siły brakuje.

Klarka rozpłakała się, Frania poszła za jej przykładem i aż załkała, ale wprędce otarły łzy i zabrały się do pracy.

— Jakoś to będzie, rzekła Klarka ocierając oczy. Zawsze w nieszczęściach naszych potrafiłyśmy się ratować, to i teraz wybrniemy z przepaści w której ugrzęzłyśmy po samą szyję. Jaka to szkoda, że Franek nie jest Mieczysławem.

— I ja to sobie nieraz myślałam.

— Szkoda, powtórzyła Klarka.

W tem zastukano do drzwi umówionym znakiem zwiastującym powrót pani Mikłockiej.

— To mama, zawołały obie panny, Bogu dzięki, byle aby nie z próżnemi rękami.

— Ah! nawet tego nie przypuszczaj, byłoby to okropnością nie do zniesienia.

Pani Mikłocka weszła ledwo dysząc z gorąca.

— Cóż mamo, są pieniądze?

— Oddali, ale tylko rubla i to samą koprowiną.

— Tylko rubla, a dlaczego nie wszystko?

— O to nie pytałam się, bo ksiądz kanonik zawsze mówił: bierz Michale co Bóg daje.

— Aleź trzeba było koniecznie upomnieć się o resztę.

— Toć ją przyrzekli oddać jutro a i na tego rubla wszyscy się składali po dziesiątce i trojaku.

— Ah! Boże kochany, i cóż my z rublem jednym zrobimy?

— Ale powiem wam nowinę. Spotkałam się z lokajem pana Anzelma i ten mi powiedział, że się oba z panem Bonawenturą wybierają dziś na Pragę i do nas przyjdą.

Wiadomość ta jakkolwiek tak pożądana, w położeniu obecnem stała się prawie przerażającą.

— Przyjdą do nas! zawołały składając ręce rozpaczliwie. Czemże ich przyjmiemy, kiedy w domu nie ma ani kawałeczka chleba. Trzeba przytem świec stearynowych, oleju do lampy, dla mamy ubrania, a tu nic nie ma, nic, co my zrobimy nieszczęśliwe! Przecieć mamy w spódnicy nie posadzimy na kanapie, ani nie okryjemy kaftanem albo serwetą.

— Raz u mego wuja, składając ręce odezwała się pani Mikłocka, zadział się gdzieś klucz od garderoby, to nietylko ja ale i wujenka siadła do śniadania w spódniczce i pantofelkach.

— Wyjdźmy z domu, odezwała się Frania nie zważając na uwagę matki.

— Niepodobna, odrzekła Klarka, mogliby się obrazić, a zresztą jestem przekonaną, że starzy zatęsknili do nas...

Frania poruszyła ramionami z niedowierzaniem, Klarka zamyśliła się, z czego korzystając pani Mikłocka rzekła:

— Wasz ojciec to raz nie był u mnie przez cztery tygodnie, to potem jak przyszedł przyjęłam go z takim płaczem że aż zatkał uszy.

— Żeby mama sobie usta zatkała, mruknęła Klarka, to byłoby najlepiej, bo podobne uwagi przy obcych to tylko nas kompromitują.

Pani Mikłocka z potulną uległością przyjęła tak szorstkie skarcenie, zaczęła się rozbierać a panny radzić co robić w tak krytycznem położeniu.

— Wiem już, odezwała się Klarka. Rzeźnik z żoną poszedł do Warszawy i nie wróci aż późno w nocy, bo oboje w kumy zaproszeni. Na stole u nich zawsze pod lustrem stoją dwa lichtarze ze świecami, wezmę je więc bo w domu została mała ich córeczka, to łatwo na to pozwoli. Przytem starannie przejrzę sypialnię, może tam co znajdę dla mamy na wierzchnie okrycie, a jeżeli cukierniczka nie zamknięta to i ta przyda się nam bardzo. W sklepie wymęczę choć golonkę i sznurek serdelków, od krupiarki pożyczę łyżeczek, noży i widelców srebrnych, a za rubla kupimy sucharków i araku, bo starych trunkiem trzeba w dobry humor wprowadzić.

— Obmyśliłaś wszystko dobrze, odezwała się Frania, daj tylko Boże, aby się udało.

— Bądź spokojna, odezwała się Klarka przybierając się na prędce do wyjścia, za powodzenie poręczam...

— Mój wuj to nie lubił poręczeń, odezwała się matka, i zawsze powiadał, że kto za kim ręczy, to go dyabeł męczy.

Wyprawa na szczęście udała się nadspodziewanie. Klarka wróciła obładowana jak wiwandyerka, z dwoma lichtarzami i świecami, z cukierniczką pełną cukru, z łyżeczkami i nożami i co najważniejsza z golonką i serdelkami. Nic jednak odpowiedniego nie znalazła na przystrój dla matki, niewyczerpana przecie w pomysłach przyniosła z sobą kapę jedwabną zdjętą z łóżka, powiadając, że na prędce sfastrzygowana wybornie zastąpi burnus, z pod którego aby się spódnica nie pokazywała, oblamuje ją, szlakiem czarnym.

— Żeby zaś, dodała w końcu, strój ten nie był zbyt rażącym, świece postawimy przy zegarze powiadając, że mama skutkiem bólu oczów światła znosić nie może.

— Wujowstwo, odezwała się pani Mikłocka, to zawsze umbrelkę stawiali przed świecą.

— U nas nie ma umbrelki, odparła Klarka, niech tylko mama nie zapomni przymrużać czasem oczy i zasłaniać je chustką.

— To mała rzecz, jak tylko siedzę, to oczy same mi się zamykają.

— Niechże aby mama na miłość Bozką nie uśnie na prawdę...

— Ja? Co też gadasz, wuj mój zawsze mówił, kto śpi to nie grzeszy i jak chrapał po południu tom muchy oganiała.

Znowu lekko w drzwi zapukano.

— Kto tam? zapytała Klarka.

— To ja panienko, odrzekł Franek. Przyniosłem dwóch szczupaczków i małego polaczka (*). Złapałem je...

— Jakiś ty dobry że tak o nas pamiętasz, przerwała Klarka ucieszona niewymownie tak niespodziewanym zdobyciem nowego materyału na wieczorny poczęstunek. Dostaniesz za to od nas nowy krawacik, ale jeżeli masz czas.....

— Znajdzie się panienko...

— To proszę cię kup sucharków i araku, a potem opraw rybki i ugotuj je jak to umiesz po rybacku.

— Dobrze panienko, w lot wszystko sprawię.

— Jakże w porę zjawił się Franek, odezwała się Klarka do siostry, jakby przewidział moje myśli.

— On zawsze taki.

— No, odezwała się Klarka z wielkiem zadowoleniem, to Bogu dzięki, wszystko załatwione nawet z pomyślnością zupełnie niespodziewaną. Rybki Franka okraszą niezmiernie całe przyjęcie, nadadzą mu szyk, dobrze zaświadczą o naszej staranności, o zabiegu i pracowitości, a oba nasze stare graty lubią to, szczególniej pan Bonawentura, który raz

(*) Sumów małych nadwiślacy nazywają polaczkami.

po szklance pączu, wziął mnie za ręce i tak do ust przytulił, jakby ją chciał przylepić na zawsze.

— Jednak jej nie przylepił, szepnęła Frania, a Klarka uderzyła się w czoło i zawołała z rozpaczą:

— Cóż zrobimy bez czepka dla mamy? Przecież z gołą głową i z grzebieniem bez połowy zębów pozostać nie może.

— Myślałam już o tem, odrzekła Frania, i zdaje mi się, że najwłaściwiej będzie aby mama wzięła kaptur na głowę, twarz obwiązała chustką i powiedziała że była cierpiącą na zęby.

— Niezła myśl, ale mama nie wytrzyma i wygada się.

— Co nie mam wytrzymać, przecież jak wujowi raz ząb rwali tom tak była wytrzymała, żem ani krzyknęła tylko głowę w pierzynkę schowałam.

Argument choć nie przekonywujący przez panny przyjęty został z milczeniem, gdyż ukończyły właśnie przeróbkę kołdry na burnus i zajęły się jego przymierzeniem.

— Dobrze, odezwały się panny obracając matkę na wszystkie strony. Fałdy dobrze się układają, przy połowicznem oświetleniu cały strój wyglądać będzie bardzo okaźnie, tylko spódniczkę z falbaną trzeba spuścić żeby nogi zasłoniła. Trepki na nich kaloszowe nie bardzo wyglądają ciekawie. Najlepiej mama zrobi, jeśli klapnąwszy na kanapie przesiedzi cały wieczór bez poruszenia.

— Oh! syknęła matka. Nie wiem co się zrobiło, ale w kanapie sprężyny jak dzidy...

— Co też mama mówi?

— Tak jest, wczoraj przypadkiem usiadłam, tom skoczyła jak oparzona. Siądę więc na fotelu.

Nie można, nie wypada. Gdyby były kobiety to co innego, ale sami mężczyzni, to jakżeby to wyglądało?

— Wielkie rzeczy! Przecież jak wujenka powoziła końmi, to siedziała z furmanem na koźle, a czterech panów w powozie.

— To dobrze, bo wujence wszystko było wolno, ale mama nie wujenka, siedzieć więc będzie na kanapie.

Pani Mikłocka jak zwykle tak i tym razem uległa i przyrzekła stanowczo, że twarz obwiąże, udawać będzie miniony ból zębów a oczów świeżo nabyty, nie ruszy się z miejsca choćby ją ciągniono parową maszyną, a przede wszystkiem mało będzie mówić, choćby jej język rozpalonem pieczono żelazem, nie uśnie i nie zdrzemnie się na małą nawet chwileczkę.

— Od dzisiejszego dnia, los nasz niemal zależy, dodała w końcu Klarka, my zrobiłyśmy wszystko co mogły, niechże mama nas czem nie skompromituje.

— Oh! znam dobrze kompromitacyą, bo u nas ekonom, wielki faworyt wuja, tak się raz skompromitował, że go wsadzili aż do kryminału.

— Nic go nie żałuję, niech więc mama ma baczność na siebie...

— Bądź spokojną, ksiądz kanonik to zawsze mówił: baczność dzieci i uwaga! a jednak tak raz stłukł nogę że o mało mu jej nie ucięli.

Klarka zniecierpliwiona chciała powiedzieć, że wielka szkoda iż tej operacyi na języku matki nie dokonano, ale nie chcąc rozpoczynać zwady w chwili tak ważnej, uwagę cisnącą się już do ust przygłuszyła, podniosła ramiona, szepnęła coś sama do siebie i zwracając się do Frani rzekła:

— Co to jest że Zosia jeszcze nie przychodzi. Już szósta minęła a jej nie ma a takby się nam przydała.

— I mnie to dziwi, taka punktualna zawsze, ale mamy na szczęście Franka, on ją zastąpi w przygotowaniu herbaty i kolacyi.

— Zapewne już dziś nie przyjdzie, czy tylko czasem nie chora. Byłoby to bardzo nie na rękę, roboty choć licho ugodzonej, że można przy niej umrzeć z głodu, ale jest dosyć, pomoc jej zatem bardzo potrzebna.

(d. c. n.)

Rubens u Velasquez'a.

Pewnego jesiennego poranku, r. 1629-go niezwykły ruch panował w jednym z obszernych pałaców, składających olbrzymi Eskurial (*), który nieznajomy przechodzień wziąłby raczej za miasto, aniżeli za zabudowanie zamkowe. Wysypywano piaskiem podwórze, rozkładano dywany, ale z szczególniejszem staraniem porządkowano jednę z obszernych pracowni tego pałacu, gdyż pracownia ta należała do sławnego, choć młodego jeszcze wówczas malarza, Diego Velasquez'a. Ruch ten niezwykły zapowiadał widocznie jakieś nadzwyczajne odwiedziny.

Diego Velasquez pomimo młodego jeszcze wieku, nie liczył bowiem więcej nad lat trzydzieści, zyskał już był niemałą w całej Hiszpanii sławę, a sława ta rosła z dniem każdym. Z rozmaitych okolic kraju zbierali się liczni w około Velasquez'a uczniowie, pragnąc kształcić się pod okiem wielkiego mistrza i z jego dzieł czerpać wzory do własnych obrazów. Ówczesny król hiszpański, Filip IV, rzadki wielbiciel sztuk pięknych, umiał ocenić nadzwyczajny talent młodego Velasquez'a, uczynił go swym nadwornym malarzem, wyniósł do godności Szambelana (**) i oddał mu na mieszkanie jeden z obszernych pałaców Eskurialu. W godzinach wolnych od zatrudnień, odwiedzał Filip IV pracownię Velasquez'a i tam przy stalugach jego ręka królewska kreśliła na płótnie rozmaite próby, pod okiem sławnego artysty. Diego Velasquez zwiedził już Włochy, Niemcy, Flandryą, poznał osobiście Rubensa, i korzyści jakie odniósł z tych podróży były znaczne, zapoznał się bowiem dokładnie ze sztuką, której znajomość jest tak konieczną dla artysty, jak jest nieodzowną znajomość form towarzyskich dla dobrze wychowanych ludzi.

Pomiędzy licznemi sługami, składającymi dwór wielkiego malarza, znajdował się także biedny niewolnik, mulat rodem, przywieziony z Ameryki. Była to oryginalna osobistość, niepozorny, cery oliwkowej, był jednak lubiony i protegowany przez swego pana. Lecz za to w nieobecności tegoż był przedmiotem żartów i, że tak powiemy, kozłem ofiarnym uczni, tych rozpustnych, złośliwych umysłów, którym uczucie litości dopiero wtedy zaczyna bydź znanem, skoro sami zakosztują przykrości i gorzkich zawodów życia.

Ale dla zrozumienia późniejszej naszej opowieści, trzeba nam tu skreślić pokrótce historyą owego niewolnika. Na życzenie Filipa IV-go Velasquez zrobił był portret sławnego admirała hiszpańskiego Jana Pareji, a gdy portret ten po ukończeniu odesłany został admirałowi, tenże, widząc własne swe rysy oddane tak trafnie pędzlem tyle wielbionego i słynnego malarza, przybył mu osobiście podziękować, ofiarując w upominku wspaniały złoty łańcuch. Dar ten przyniósł za Parejem młody niewolnik, mulat, którego admirał kupił w czasie jednej ze swych podróży do Indyi. Skoro po skończonej wizycie, Pareja pożegnawszy Velasquez'a wychodził z jego pałacu, niewolnik czuł się w obowiązku postępowania za swym panem, ale nieczuły żeglarz odepchnął go nogą, zawoławszy z gniewem:

— Czy sądzisz, nikczemniku, że ten który dar przyniósł, nie należy także do daru? Od tej chwili nie jesteś już więcej moim niewolnikiem, lecz należysz do Diego Velasquez'a.

To rzekłszy admirał oddalił się, a biedny niewolnik, drżąc cały z obawy przed nowym panem, wszedł do pracowni Velasquez'a, z tą nieśmiałą, zalękłą postawą, jaką daje zwykle niewola, i od tej zaraz chwili stał się przedmiotem śmiechu i żartów zgromadzonych w pracowni uczni.

Nielitościwa młodzież największą znajdowała przyjemność, w przezywaniu i naśmiewaniu się z biednego niewolnika; nazwali go wielkiem imieniem Jana Pareji, które to imię dawnego swego pana, biedny mulat nazawsze zachował.

Velasquez obchodził się z młodym niewolnikiem jaknajlitościwiej; powierzył mu staranie o utrzymywanie porządku w pracowni, zajęcie to wcale nie było uciążliwe. Jan Pareja, widząc to szlachetne postępowanie swego pana, starał się obowiązki swe jaknajsumienniej wypełniać i wkrótce przywiązał się niezmiernie do Diego Velasquez'a. Najszczęśliwszym czuł się wtedy, gdy mistrz przebywał w pracowni, gdyż szacunek, jaki panował pomiędzy uczniami dla wielkiego nauczyciela, zakazywał im w jego obecności pozwalać sobie jakichkolwiek przedrwiwań i dowcipów, ale skoro tylko Velasquez oddalił się, natenczas niezliczone mnóstwo złośliwych żartów jakby gradem spadało na biedną ofiarę. Jan długo znosił cierpliwie te codzienne przykrości, lecz w końcu przybity i znudzony niemi, starał się odszukać w pałacu jakiej ustroni, gdzieby w czasie niebytności pana w domu, bezpieczne znalazł przed złośliwemi językami schronienie.

Liczne przykłady uczą, że ciągłe obcowanie z ludźmi, obdarzonymi czy to darem malarstwa, czy poezyi lub muzyki, wzbudza i w nas chęć poprobowania własnych na tem polu zdolności i że wtedy właśnie okoliczności wzbudzają często wielki talent w tych duszach, w których go nigdy przedtem nie bylibyśmy przypuścili. I to też pewne, że nie jeden już geniusz byłby zeszedł ze świata nieznany, gdyby nie ta lub owa, drobna czasem na pozór okoliczność, która go z głębi duszy wzbudziła. Kto wie ile już wielkich dusz i umysłów, ile geniuszy opuściło tę nędzną ciała lepiankę, nieznani zupełnie światu, może nawet sami nie wiedzący, czem ich Bóg obdarzył.

Jan Pareja, przebywając przez lat kilka wśród ludzi oddanych jedynie malarstwu, patrząc na naj-

(*) Eskurial, sławny z wielkości swej i przepychu gmach, służący jednocześnie za zamek i klasztor Hieronimitów. Gmach ten znajduje się w hiszpańskiem królestwie Nowej Kastyli o 6 ½ mil od stołecznego miasta Madrytu. Budowa jego kosztowała 5 milionów dukatów, a wzniósł go Filip II-gi na pamiątkę zwycięztwa, odniesionego pod St. Quentin r. 1557-go. Eskurial tworzy czworobok składający się z 17 części, jest 740 stóp długi, ma 20 dziedzińców, 890 wież, 1,000 kolumn i 5,000 okien. Tutaj też znajduje się kaplica grobów królewskich, oraz sławna biblioteka założona przez Filipa II-go, a przez następców znacznie pomnożona. W r. 1872-gim wybuchły ogromny pożar, zniszczył znaczną część Eskurialu.

(**) Szambelan (z francuzkiego) znaczy po polsku tyle, co podkomorzy, godność na dworach monarszych, która u nas pojawiła się dopiero za czasów Stanisława Augusta. Szambelani mieli właściwy złotem haftówany mundur, z kluczem złotym na lewem biodrze, godło to służy i dzisiaj Szambelanom.

piękniejsze europejskiego pędzla wzory, spotykając w pracowni Velasquez'a pierwsze znakomitości ówczesne, powziął szczerą chęć popróbowania własnych zdolności. Już powiedzieliśmy, że biedny mulat pragnął odnaleźć w pałacu Velasquez'a bezpieczne dla siebie schronienie. Otóż na ten cel posłużyło mu maleńkie, o jednem okienku poddasze, umieszczone gdzieś w szczycie pałacu. Tamto w nieobecności mistrza, przepędzał czas młody niewolnik, nad kawałkiem płótna, malując wytartym już nieco pędzlem i resztkami farb, które w czasie porządkowania pracowni tu i owdzie pozbierał. Widział on to dobrze i czuł w duszy, że pracom jego wiele jeszcze nie dostaje, nie miał bowiem wcale materyałów po temu, jednakże malarstwo sprawiało mu niesłychaną przyjemność, najszczęśliwszym czuł się po dokonaniu jakiegokolwiek szkicu. O swych pracach nie wspominał jednak nikomu, obawiając się nowych ze strony uczni prześladowań. Ale wróćmy do początku naszego opowiadania; mówiliśmy o niezwykłym ruchu, jaki panował pewnego jesiennego poranku r. 1629-go w pałacu Diego Velasqez'a. W dniu tym biedny niewolnik zdawał się być więcej nad innych zatrudnionym; każdy się nim posługiwał, a on poczciwy, pragnąc życzeniom wszystkich zadość uczynić, nie wiedział czyj rozkaz najpierw wypełnić. Dwóch ważnych w dniu dzisiejszym spodziewano się gości. Jednym z nich był król Filip IV, ale nie dla niego robiono te przygotowania: drugim był Piotr Paweł Rubens, i choć tylko mieszczanin Antwerpii znaczył dla Velasquez'a i uczni wiele więcej, aniżeli sam król Hiszpanii. Piotr Paweł Rubens był dla nich gwiazdą przewodnią, królem malarzy, ojcem sztuki. We wszystkich krajach Europy jako to: w Hollandyi, ojczyznie Rubensa, w Niemczech, Francyi, we Włoszech, w Anglii, Hiszpanii, wszędzie imię jego było już sławne, wszędzie chowano cześć dla wielkiego artysty. Na cześć tę zasługiwał wykonywaniem tak wielkich prac jak: Święta Helena u stóp Krzyża, która obecnie znajduje się w Petersburgu, Marya unoszona przez Aniołów, Podniesienie Krzyża, Zdjęcie z Krzyża będące jego arcydziełem i wiele innych. Rubens był przyjacielem wszystkich niemal ówczesnych panujących i książąt. Filip IV obsypywał go dostojeństwami; wyniósł go do godności Szambelana, a następnie dał mu tytuł sekretarza tajnej rady królewskiej. Król angielski Karol I uczynił go członkiem parlamentu, a infantka Izabella uważała sobie za szczęście przebywać w towarzystwie Rubensa. We wszystkich galeryach Europy znajdowały się obrazy jego pędzla; pod kierownictwem jego tworzyły się osobne szkoły malarstwa i rzeźbiarstwa. Rubens nadzwyczajnemi obdarzony zdolnościami posiadał fantazyą twórczą, niesłychaną bystrość umysłu, dowcip i pamięć nadzwyczajną. Oprócz wielkiego talentu artystycznego był także sławnym rytownikiem i architektem. Podług własnego rysunku kazał dla siebie wybudować piękny pałac. Przepyszny kościół Jezuitów w Antwerpii jest dziełem Rubensa. Był także zręcznym dyplomatą, za jego staraniem zawarty został pokój między Anglią a Hiszpanią a do pokoju tego doprowadził przez wykonanie portretów króla angielskiego, Karola I i hiszpańskiego Filipa IV. Rubens wsławił się także jako znakomity pisarz przez wydanie kilku dzieł sławnych o budownictwie, a oprócz tego był w korespondencyi ze wszystkiemi znakomitościami Europejskiemi. Wspaniałomyślny i litościwy łożył z własnych funduszów na potrzeby młodych artystów kształcących się w Rzymie, a dobrodziejstwami swemi rozbrajał nieprzyjaciół własnych. Corneille Schut, jeden z późniejszych jego uczni, ogłosił się publicznie jego przeciwnikiem; krótko po tem zdarzeniu, Rubens dowiedział się, że Schut jest w nędzy z powodu zupełnego braku pracy, że nie ma żadnych zamówień—zaraz więc szlachetny artysta wystarał się o zajęcie dla swego przeciwnika. Malarzowi Van Uden'owi i wielu innym, posełał własne swe prace, aby młodzi artyści mogli z nich czerpać wzory; dawał im rozmaite wskazówki, zalecał kopiowanie zwierząt i pejzarzy ze swych arcydzieł, a skoro mu zarzucano niedość dokładną znajomość tego rodzaju prac, Rubens wykonał na płótnie wspaniałe polowanie, pełne twórczej siły i cudownych zarysów. Kiedy wytknięto błędne charaktery niektórych twarzy i postaci, wychodzących z pod jego pędzla, wykonał wtedy swe arcydzieło „Zdjęcie z Krzyża,“ któremu cała Europa przyklasnąć musiała, a kiedy po rozmaitych ówczesnych pismach ukazały się krytyki, nieprzyjazne jego pędzlowi, Rubens je rozbrajał, wystawiając na widok publiczny to, czego znajomości krytyka mu odmawiała. Często zwykł był powtarzać to głębokie zdanie: „Jeśli czyniąc dobrze masz zawistnych i nieprzyjaciół, czyń lepiej a pokonasz ich.“

Velasqez doznawał dziwnego wrażenia, na myśl, że dzisiaj dzieła jego samego i jego uczni sądzone będą przez największego z ówczesnych artystów.

— Sława moja, mawiał często, nie może się zwać sławą, dopóki jej nie uzna Piotr-Paweł Rubens.

Pragnąc więc gorąco pokazać Rubensowi całą potęgę swego pendzla, wykonał naumyślnie na dzień jego przybycia, ów sławny obraz „Suknie Józefa,“ który w r. 1809 został przez Francuzów sprowadzony do Luwru, ale nieco później, po upadku Napoleona, dostał się napowrót Hiszpanom.

W godzinie popołudniowej dwie wspaniałe karety otoczone licznym orszakiem, stanęły przed bramą pałacu zajmowanego przez Diego Velasquez'a. Z pierwszej wysiadł król Filip IV-ty, w towarzystwie kilku najznakomitszych grandów hiszpańskich, z drugiej Piotr-Paweł Rubens, otoczony swemi ulubionemi uczniami: Van Dyck'em, Sneyders,em i wielu innymi. Skoro bramę pałacową rozwarto, Rubens, szanując godność królewską Filipa IV-go, chciał go puścić pierwszego, wraz z jego dworem, do pracowni Velasquez'a, ale Filip rzekł uprzejmie zwracając się do Rubensa:

— Wszakże jesteśmy w mieszkaniu artysty, ty więc mistrzu, jesteś tu monarchą, boś ty królem artystów.

To rzekłszy, podał z wrodzoną sobie uprzejmością, ramię Rubensowi i dwaj monarchowie weszli do pracowni Velasquez'a. Młody malarz, bywalec, obeznany ze zwyczajami wielkiego świata, umiał otoczyć czcią Rubensa bez ujmowania jej Filipowi.

Tymczasem stojący opodal w kąciku biedny mulat, zdawał się być oczarowanym. Oczy jego pochłaniały niemal wielkiego mistrza, kolana drżały pod nim i gdyby tylko był śmiał, byłby się rzucił do nóg Rubensowi, by uczcić w nim króla malarzy.

Serca wszystkich biły gwałtownie, podczas kiedy mistrz szkoły flamandzkiej, przeglądał wolno, w milczeniu, utwory mistrza szkoły hiszpańskiej. Wreszcie na widok „Sukni Józefa,“ na twarzy Rubensa głębokie wyryło się wrażenie; wyciągnął ze wzruszeniem obie ręce do Velasquez'a, który z rozpromienioną twarzą rzucił się w jego objęcia:

— Otóż to najszczęśliwszy dzień mego życia, zawołał malarz Filipa IV-go, lecz jeśli chcesz wypełnić mistrzu kielich szczęścia mego, zechciej uwiecznić twój u mnie pobyt dorzuceniem kilku chociaż zarysów do którego z mych niedokończonych obrazów:

To rzekłszy Velasquez wskazał ręką kilka ze swych główniejszych prac i podał Rubensowi pędzel i paletę, w nadziei że wielki artysta pozostawi na którym z jego obrazów, promyk swej sławy.

— Wszystko co widzę tutaj jest wykończone, rzekł Rubens, ale z przyjemnością skreślę ci na czystym płótnie szkic jaki.

To mówiąc wyciągnął rękę po płótno które stało opodal, odwrócone do muru, a które brał za czyste zupełnie. Lecz odwróciwszy je ku sobie wydał okrzyk podziwu, na płótnie tem bowiem był umieszczony przepyszny szkic, znany od tej chwili pod nazwą „Pogrzebanie.“

W tej chwili oblicze mulata zbladło z przestrachu, nie przypuszczał bowiem, że obraz ten ukrywany tak starannie na poddaszu, znajdował się w tej chwili w pracowni. Zadrżał jako winowajca, oczekujący gniewu swego pana, i nowych ze strony uczni prześladowań.

Rubens tymczasem przyglądał się z uwagą szkicowi.

— Na pierwszy rzut oka, rzekł wreszcie, myślałem że to twój pędzel, Velasquez'ie.....

Niewolnik rozwarł szeroko oczy, nie dowierzając własnym uszom; zdawało mu się, że jakiś sen złoty nim owładnął i uniósł go w daleką krainę marzeń. Nikt jednak z obecnych tego jego zmieszania nie spostrzegł.

— Przyglądając mu się bliżej, rzekł dalej Rubens, poznaję że ten szkic jest dziełem jednego z twych uczni. Ktokolwiek jest twórcą tego dzieła, może się od tej chwili zwać mistrzem, bo posiada nietylko talent, ale geniusz.

Każde z tych słów wymówionych podwoiło wzruszenie biednego Jana Pareji.

— Nie wiem doprawdy, rzekł zdziwiony Valesquez, przyglądając się także z uwagą szkicowi, z pod czyjego pędzla mógł wyjść ten obraz, którego nie widziałem nigdy w mej pracowni. Któryż z was panowie, jest twórcą tego obrazu? zapytał rzucając badawczy wzrok po uczniach.

W całem zgromadzeniu głębokie panowało milczenie, lecz gdy wzrok Velasquez'a spoczął na twarzy niewolnika, Jan Pareja padając na kolana z wielkiego wzruszenia; zawołał ze łzami:

— To ja panie, ja.....

Van Dyck podniósł biednego mulata, lecz tenże łkał tak gwałtownie, że słowa nie mógł wymówić. Rubens i Velasquez wyciągnęli do niego ramiona ściskali go czule, a król Filip IV-ty, szczęśliwy świadek tej wielkiej sceny, zbliżył się także do niewolnika i opierając swą rękę królewską na ramieniu jego zawołał:

— Człowiek geniuszu nie może pozostać dłużej niewolnikiem! Janie podnieś swobodnie czoło, jesteś wolny, a twój pan otrzyma natychmiast dwieście uncyi w złocie za twój okup.

— A te dwieście uncyi są twoją własnością Janie, odrzekł Velasquez. Mnie niechaj służy ta wielka nagroda, że znajduję w tobie w miejsce niewolnika, artystę i... przyjaciela.

— O! do śmierci pragnę pozostać twym niewolnikiem. Tak, do śmierci niewolnikiem takiego jak ty pana, zawołał Jan Pareja, ściskając kolana Velasquez'a.

Rubens zbyt wzruszony odłożył na bok pędzel i paletę, pozostawiając do dnia następnego spełnienie przyrzeczenia, o jakie go Velasquez prosił.

Obydwa orszaki oddaliły się.

Nazajutrz Rubens przybył do pracowni dopełnić swego przyrzeczenia, zabawił tam godzinę i pozostawił szkic własnego pędzla. Jan Pareja już w charakterze wolnego człowieka, usługiwał mu przy tej pracy, a skoro Rubens odjeżdżał, uścisnął z czułością rękę mulata, zwiąc go swym współtowarzyszem i przyjacielem.

Jan Pareja nie zapomniał nigdy o szlachetnem względem siebie postąpieniu Velasquez'a, nigdy też nie mógł się zdecydować na rozłączenie się z nim. Towarzyszył mu wszędzie i tego samego też dnia co Velasquez został przyjętym do akademi Ś-go Łukasza (Saint Luc) w Rzymie, która wtedy pomiędzy swych członków liczyła sławnych bardzo artystów.

Velasquez umarł w Madrycie r. 1660-go, na panującą tam zaraźliwą chorobę, Jan Pareja był przy jego zgonie, towarzyszył aż do grobu swemu dawnemu panu, a późniejszemu przyjacielowi, a następnie z jak największą troskliwością zajął się losem pozostałej po Velasquez'ie wdowy, która jednak wkrótce po śmierci męża tą samą dotknięta chorobą umarła. Lecz i wtedy szlachetny Jan Pareja nie opuścił jeszcze rodziny Velasquez'a i pozostał przy jedynej córce jego, która krótko przed śmiercią ojca zaślubiła sławnego hiszpańskiego pejzarzystę Martinez'a del Mazo.

— Panie, rzekł Pareja do ostatniego, na świecie nie mam już nikogo drogiego memu sercu, prócz was obojga, pozwólcie mi pozostać do śmierci w domu waszym, jeśli nie chcecie abym umarł z tęsknoty.

— Janie, odrzekł mu na to Martinez del Mazo, dom mój i serce moje stoi dla ciebie otworem, pozostań, a przyjacielem moim być nie przestaniesz.

Jan Pareja całem sercem przywiązał się do Martinez'a del Mazo i w r. 1670 własnem poświęceniem ocalił mu życie. Gdy bowiem Martinez przez wykonanie obrazu satyrycznego, który do dziś dnia pokazują w pałacu Aranajuez, obraził był jednego ze znakomitszych panów Madrytu, tenże posłał zabójcę, który miał zamordować potajemnie Martinez'a del Mazo. Jan Pareja który nie odstępował na krok swego nowego dobroczyńcy, zasłaniając własną piersią Martinez'a, otrzymał sam cios śmiertelny i skonał w godzin kilka.

Muzeum Madryckie posiada kilka przepysznych obrazów tego artysty; w Muzeum Paryzkiem, tak zwana galerya Hiszpańska, posiada dwa sławne dzieła Jana Pareji: „Święte niewiasty u grobu Zbawiciela" i owe pamiętne „Pogrzebanie," które zyskało tyle sławy w ręku Rubensa.

Marya Szuman.

CZERWONY DOKTÓR.

(z opowiadań lekarza)

PRZEZ

Aldę de Gravas.

I.

— Na bok, niezdary! czyście ogłuchli i zaniewidzieli, chcecie wyraźnie żeby dyliżans was przejechał?

Miłe te słówka wymówione były przez jednego z tragarzy oczekujących na przyjście dyliżansu, do tłumu zalegającego dziedziniec pocztowy. Wszyscy się rozstąpili i niebawem powóz wtoczył się na dziedziniec a przez otwarte z obu stron okna zaczęły wytykać głowy najrozmaitszych postaci.

Rodziny i przyjaciele otoczyli ogromny powóz, nareszcie otworzono drzwiczki i zaczęły wysiadać osoby różnej powierzchowności i w najodmienniejszych ubraniach.

Ostatni wysiadł mężczyzna sześćdziesięcioletni. Widząc jak obojętnie wodził do koła czarnemi oczyma ocienionemi gęstemi siwiejącemi brwiami; jak powoli schodził ze stopni wpatrując się w towarzyszy podróży witanych radośnemi okrzykami lub czułym uściskiem, łatwo było odgadnąć dla czego się nie spieszył — nikt nie czekał na niego.

Wolnym krokiem przeszedł wśród zebranego tłumu, zwrócił się ku hotelowi i wszedł do sali wspólnej.

— Proszę chciej mi pani powiedzieć, rzekł do kobiety dobrej tuszy, której uprzejmy uśmiech i zarazem zaturbowana mina, dawały poznać panią domu, jak długo dyliżans zatrzymuje się w tem mieście?

— Najmniej dobre dwie godziny, odpowiedziała.

— Dwie godziny, powtórzył podróżny, widocznie bardzo z tego niezadowolniony.

— Tak, to też będziesz pan miał czas zjeść obiad który niedługo podadzą.

— Dobrze proszę kazać podać mi obiad.

Pani gospodyni wyszła, podróżny pozostał sam.

Czekał z kwadrans, nareszcie zawołał na przechodzącego garsona:

— Czy prędko dadzą obiad?

— O! jeszcze nie zaraz, odpowiedział.

— No, ale jakże prędko mniej więcej?

— Za małą godzinkę.

— Widać w tym domu są podwójne godziny, pomyślał sobie, dobre i małe, a jednak zmęczonemu podróżą, bardzo niemiło jest czekać w czas tak brzydki i zimny.

— Proszę powiedz mi, czy w mieście nie ma co ciekawego do widzenia?

— A jakże proszę pana, odrzekł garson prostując się, mamy piękny plac targowy i nowiuteńki teatr.

— I nic więcej? zapytał uśmiechając się podróżny.

— Mamy także bardzo stary kościół, który wiele osób ogląda i podziwia jego malowane szyby; ale nie śmiałbym panu radzić żebyś go zwiedzał, szkoda fatygi, stare to jak świat — i pewnie niedługo się rozsypie.

— A jakąż nosi nazwę ten stary kościół? zapytał podróżny kładąc paltot.

— Jest to kościół Zwiastowania N. Maryi Panny.

— Czy daleko ztąd?

— O nie, wyszedłszy przed dom zobaczysz pan dzwonnicę, którą wiele osób bardzo wychwala. Z resztą pierwszy lepszy przechodzień wskaże panu drogę.

Podróżny podziękował skinieniem głowy i wyszedł z sali; musiał jednak zatrzymać się przed progiem gdyż przejść nie można było. Dwóch ludzi niosło na ręku bardzo bladego młodzieńca; za nimi szła młoda jeszcze kobieta ale twarz jej była wychudła i zwiędła, i widać w niej było ślady głębokiej boleści i smutku.

Nieznajomy zatrzymał się, patrząc na ten smutny orszak i zdawał się wzrokiem zapytywać garsona, który się właśnie zbliżył.

— Ta pani i syn jej chory, mieszkają w naszym hotelu. Jest to jedynak, stracił władzę w jednej nodze, wszyscy doktorzy których wzywano, nie wyjmując najpierwszych znakomitości paryzkich; uznali że jest choroba nieuleczona. Matka biedaka dowiedziała się że przybył tu sławny doktór, który dawniej mieszkał w Paryżu i przyjechała tu z chorym synem aby zasięgnąć jego rady. Już jeżli kto na świecie może go wyleczyć, to chyba nasz doktór — on taki uczony!

— Czy dał matce jaką nadzieję?

— Dotąd nie, ale podjął się kuracyi, a tylu już wyleczył skazanych na śmierć, to może i tego uratuje. Nie łatwo spotkać tak znakomitego doktora jak nasz doktor Riberac; jak tylko zajmie się jakimś chorym, można być pewnym że będzie zdrów.

— Riberac! powtórzył zwolna podróżny; czy doktór Riberac stale tu mieszka?

— Tak panie, i robi bardzo wiele dobrego. Równą troskliwością otacza nędzarzy jak i największych bogaczy, a wszyscy mówią iż gdyby nie był tak bezinteresownym, miałby ogromny majątek.

— Powiedz mi przyjacielu, czy doktór Riberac nie mieszkał kiedy w Paryżu?

— Mieszkał panie i podobno nawet dość długo; ale rząd upatrzył sobie coś do niego i wytoczył mu proces. Nie wiem o co to szło, dość że został skazany na wygnanie z Francyi, w skutek czego wyjechał do Anglii.

— To on! zawołał z radością nieznajomy. Gdzież mieszka doktór Riberac?

— Przy ulicy Ś-go Jakóba, i niezawodnie zastaniesz go pan w domu, gdyż dziś właśnie przyjmuje chorych bezpłatnie.

Podróżny wyszedł i zapytawszy o drogę udał się na wskazaną ulicę. Wszedłszy na nią ujrzał idących przed sobą starców, kaleki i chorych zatrzymujących się przed niewielkim domkiem; wszyscy wchodzili do niego.

Domyślił się że tam musi mieszkać doktór i wszedł za nimi.

Znalazł się w długim korytarzu, po obu stronach którego stały białe drewniane ławki, na których przychodzący zajmowali miejsca. Zwrócił się ku drzwiom w głębi przy których znajdował się dzwonek, ale po chwili namysłu usiadł na ławce w rogu korytarza, kryjącej się prawie po za jakiemiś drzwiami. Tam usiadłszy, powiódł okiem po zgromadzonych, przedstawiających najrozmaitsze nędze i cierpienia ludzkie. Obok człowieka mającego raka w twarzy, siedziała kobieta z ludu, matka rodziny, wycieńczona pracą, nędzą i cierpieniem. Przy starcu na wpół sparaliżowanym, stała dziewczyna blada i osłabiona; wszystkie twarze były zwiędłe, wynędzniałe, niektóre okropne, strasznie wykrzywione bólem. Wszyscy rozmawiali, gwar zagłuszał kaszel i jęki wydzierające się z piersi niektórych.

Gdy wszedł nieznajomy oczy wszystkich zwróciły się na niego, a widząc że usiadł na ławce, zaczęto szeptać i niechętne rzucać na niego spojrzenia.

— Jeśli ten jakiś panek myśli że wejdzie pierwszy, to się grubo myli, rzekła któraś kobieta, tak głośno żeby usłyszał; czerwony doktór jest bardzo dobry i sprawiedliwy, i każdy tu musi trzymać się kolei.

— O! masz pani słuszność, poczciwy to człowiek ten doktór Riberac, nie poniewiera biedaków, to też cały lud z miasta i z poblizkich wiosek dałby się porąbać za niego.

— Ósma wybiła na kościelnym zegarze, rzekła trzecia, przestańcie paplać, wiecie że doktór tego nie lubi i żąda żeby się cicho sprawiać!

— Otóż i on! zawołało kilka głosów.

Wtedy w korytarzu głuche zapanowało milczenie, otworzyły się małe drzwi znajdujące się po lewej stronie korytarza i stary mężczyzna ukazał się na progu.

Sądząc ze zmarszczek pokrywających twarz oraz z koloru włosów i brody, pan Riberac miał lat siedemdziesiąt, ale patrząc na prostą i wyniosłą jego postawę i na pełne ognia oczy — nie danoby mu więcej nad pięćdziesiąt. Piękne choć zmarszczkami poorane czoło, zdradzało wysoką inteligencyą; a zapadłe oczy rzucały posępne lecz bystre spojrzenie; wypukłe kości policzkowe i wysunięty podbródek, nadawały tej wychudłej twarzy dziwnie energiczny wyraz.

Obok rozumu bijącego z oczu, w jego prawie pięknej jeszcze i pewną wzniosłością nacechowanej

twarzy, uderzał szczególniej wyraz niezwykłej siły i stałość charakteru. Odpowiedział skinieniem głowy na pełne uszanowania powitanie i powiódł okiem po obecnych. Nie dostrzegł nieznajomego siedzącego po za drzwiami i zasłoniętego w tej chwili przez jakąś wysoką kobietę, która wstała gdy doktór stanął we drzwiach.

— Kto przyszedł najpierwszy niech wejdzie do mojego gabinetu, rzekł doktór, a proszę zachować się cicho i spokojnie; wiecie że nie lubię sprzeczek ani hałasu, przeszkadza mi to w egzaminowaniu chorych. Urządźcie się więc tak aby każdy wchodził po kolei jak przybył.

To powiedziawszy wszedł do gabinetu.

— Idź więc, boś najpierwsza przyszła, rzekło kilka razem osób do sąsiadki nieznajomego.

Kobieta wstała i postąpiła parę kroków; nieznajomy ją zatrzymał:

— Moi przyjaciele, rzekł wychodząc na środek korytarza, proszę was pozwólcie abym wszedł najpierwszy. Jestem przyjacielem pana Riberac, nie widzieliśmy się od trzydziestu lat, zabawię tylko kilka minut. I ja także jestem doktorem; nie chciałbym zabierać mu czasu który wam poświęca.

Zasępione przed chwilą twarze, przybrały zwykły wyraz, młoda kobieta odsunęła się mówiąc:

— Niech pan idzie.

— Wrócę niebawem, rzekł nieznajomy—i wszedł do gabinetu doktora.

II.

Pan Riberac stał przed biórkiem, zapatrzony w ogromną leżącą przed nim księgę.

Usłyszawszy otwarcie drzwi odsunął książkę i odwrócił się ku wchodzącemu. W twarzy jego żadne nie objawiło się zadziwienie; ukłonił się poważnie.

Nieznajomy wlepił wzrok w jego surowe i posępne spojrzenie, a nie mogąc dojrzeć śladu najlżejszego wzruszenia, przysunął się, uchwycił obie jego ręce i rzekł drżącym nieco głosem.

— Nie poznajesz mnie?

Doktór podniósł głowę?

— To głos du Hamel'a zawołał, i otwierając ramiona gwałtownie przycisnął go do piersi i przelotny rumieniec wystąpił na pożółkłą twarz jego. To ty! ty! powtarzał, ty, Ludwik du Hamel.

— A ja! ja! już myślałem że będę zmuszony ci się zaprezentować... odrazu cię poznałem.

Pan Riberac posunął ręką po swoich siwych włosach i potrząsł smutnie głową.

— Dziwi mnie to, rzekł, bo jakże to wielka zachodzi różnica między starcem co stoi przed tobą, a pełnym siły i zapału młodzieńcem którego byłeś przyjacielem.

— Cóż chcesz, mój drogi, obydwaśmy się zestarzali — i nic w tem dziwnego.

— Tak, ale jakaż to między nami różnica! Może bym cię był poznał, gdybyś starzej wyglądał. Ale nic dziwnego, tak odmienne wiedliśmy życie; moje było tak burzliwe i gwałtowne, twoje ciche i spokojne.

— Każdy z nas osiągnął czego żądał; przyznaj że dobrowolnie wystawiałeś się na najgwałtowniejsze burze...

— A przecież nie one to najwięcej zakrwawiły mi serce, odrzekł doktór ponuro. Jednak gdy przyjdzie mi na myśl zastanowić się nad związkiem zachodzącym między temi za któremi goniłem a temi które mnie przygniotły, i rozważyć stosunek istniejący między skutkami a przyczynami, tak straszny ból szarpie mi duszę, iż każdego innego przywiódłby do szaleństwa. Niestety! życie burzliwe i pełne gwałtownych wstrząśnień nie może dać szczęścia.....

W tej chwili szmer jakiś dał się słyszeć w korytarzu.

— Chorzy twoi niecierpliwią się, rzekł pan du Hamel, prosiłem ich o kilka minut — czy nie możnaby odłożyć tej porady?

— Niepodobna! mogłem niekiedy błądzić w zawodzie politycznym, ale w zawodzie doktora postępowałem zawsze drogą obowiązku, choć często ciemniem bywa zasłana. Zawsze byłem niewolnikiem cierpiących i nędzarzy; więc choć z bólem serca muszę cię pożegnać, później trochę nagadamy się do woli.

— Poźniej, mój drogi! ale ja odjeżdżam za godzinę. Jestem tylko w przejeździe i przypadkiem dowiedziałem się że tu mieszkasz.

Błogosławię ten wypadek, ale nie puszczę cię, musisz choć tydzień pozostać ze mną.

— Niepodobna.

— Więc choć cztery dni.

— Nie mogę.

— To choć dwa dni tylko.

— Niepodobieństwo, żona na mnie czeka, odrzekł du Hamel; jednak po chwili namysłu dodał:

— Dwa dni! Wprawdzie żona czeka... ale mogę ją zawiadomić że przyjadę parę dni później; zabawi trochę dłużej u swej rodziny w Marsylii, nie zrobi jej to przykrości... więc zostanę.

— Dziękuję ci, rzekł pan Riberac, ściskając rękę dawnego kolegi.

Zadzwonił i wszedł służący.

— Jakóbie, zaprowadź pana do salonu, rzekł doktór, przyjdę tam zaraz jak tylko załatwię się z chorymi; nie potrwa to zbyt długo, tymczasem zastąpi mnie córka moja.

— A! więc masz córkę!

— Jedną już mam tylko z całej rodziny.....

W tem we drzwiach ukazała się wynędzniała jakaś postać; doktór pożegnał pana du Hamel, który poszedł za służącym na pierwsze piętro.

(*d. c. n*).

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammariona.

Streszczony przez

Joannę Belejowską.

Zakończenie.

Podaliśmy w streszczeniu naukowe dowodzenia i hipotezy słynnego popularyzatora nauki astronomicznej, pozostaje nam już tylko podać w krótkości ostateczne jego wnioskowania.

Każda gwiazda jest słońcem wielkiej objętości i ciężkości jak to co nas oświetla, tylko skutkiem niezmiernej odległości wydają się nam one jak małe błyszczące punkciki. Gdybyśmy mogli zbliżyć się do którejkolwiek z nich, doznalibyśmy podobnego wrażenia jak idąc z Neptuna do Słońca; gwiazda powiększałaby się w miarę zbliżania, okazywałaby tarczę okrągłą, i stopniowo przedstawiałaby się nam tak wielką jak Słońce widziane z ziemi. Świetna ta tarcza zwiększając się stopniowo w miarę naszego zbliżania, w pewnej chwili ukazałaby się nam nareszcie *jak ognista otchłań zapełniająca całe niebo*, a olśnieni taką kolosalnością, unicestwilibyśmy się jak wosk roztopiony, wyparowali jak kropla wody spadająca na rozpalone żelazo.

Od czasu Keplera, astronomowie przypuszczają zgodnie, że każde z tych niezliczonych słońc zaludniających nieskończoność, jest środkiem systemu odpowiadającego systemowi planetarnemu do jakiego i Ziemia należy. Każda z gwiazd widzianych na niebie przedstawia nam z oddali świetlne ognisko, w koło którego gromadzą się inne ludzkości, tylko oczy i teleskopy nasze są za słabe aby do nich dosięgnąć mogły. Wybiła jednak godzina kiedy te systemy planetarne, tak odmienne od naszego, przestają drzemać w łonie hipotez. W braku teleskopów mechanika niebieska wyjawiła już istnienie gwiazd ciemnych, niewidzialnych w promieniach tych odległych słońc, ale które zakłócają własne ich obroty w pośród niezmierzoności. Obecnie już nawet nadzwyczaj silne teleskopy odkryły niektóre z tych domyślnych gwiazd. Tak więc już nie przez same tylko hipotezy możemy mówić o systemach słonecznych odmiennych od naszego, ale dowodzić ich, skoro już tak wielką poznaliśmy ich liczbę. Gwiazdy pojedyńcze powinny bydź uważane jako słońca odpowiednie naszemu, otoczone rodzinami planetarnemi. Gwiazdy podwójne, których druga gwiazda jest bardzo mała, mogą bydź zaliczone do tejże klasy, gdyż owa druga gwiazda może bydź planetą ciemną, odbijającą tylko blask głównej, lub też planetą jeszcze gorącą i świetlną. Gwiazdy podwójne, których dwie składające jednaki blask przedstawiają, są złożone z dwóch słońc połączonych i około każdego z nich mogą opisywać swe drogi planety ztąd niewidzialne: są to światy zupełnie odmienne od tych jakiemi zajmowaliśmy się w tem dziele, gdyż *są one oświetlone przez dwa słoca* już to jednocześne, już następujące po sobie, i różnej wielkości, odnośnie do odległości tych światów od nich.

Tak więc *gwiazdy są prawdziwemi słońcami*, olbrzymiemi i potężnemi, panującemi w strefach przestrzeni oświetlonych ich blaskiem, *systemów zupełnie odmiennych od tego do jakiego należy nasza ziemia*. Firmament nie jest głuchą puszczą jak kiedyś mniemano, jest zaludniony jak strefy w których obraca się Ziemia; ciemność, milczenie, śmierć, panujące na tych wyżynach, ustąpiły miejsca światłu, ruchowi i życiu; tysiące i miliony słońc wielkiemi strumieniami rozlewają w przestrzeni działalność, ciepło i różne wyniki z ich ogniska. Wszystkie te następujące po sobie, krzyżujące się i walczące z sobą ruchy, jednoczą się pod względem utrzymania i rozwoju *życia powszechnego*. Niezmierzoność przekształca się przed naszym zdumionym wzrokiem; słońca następują po słońcach, światy po światach, wszechświaty po wszechświatach; systemy te unoszą się z niepojętą, straszną prędkością w pośród bezgranicznych stref niezmierzoności, wszędzie aż do najodleglejszych krańców w których zmęczona wyobraźnia może złożyć swe strudzone skrzydła, wszędzie rozwija się w swej nioskończonej różnorodności Boska kreacya, której mikroskopijna nasza planeta jest zaledwie maluczką, zaledwie dającą się dostrzedz prowincyą...

Jakie siły działają na powierzchni tych ziem niebieskich? Jakie tam żyją istoty w pośród wyobrażonych i nie dających się pojąć warunków zamieszkalności? Jakie dusze myślą, marzą, kochają, cieszą się i smucą na tych oddalonych światach? Jakie są ich kształty?... Któż odpowiedzieć zdoła. Poeci wymyślali najdziwniejsze rzeczy o ich postaci, kształtach, przeznaczeniu, lecz cóż znaczą podobne mrzonki?... Gdyby najpiękniejsza para ludzi jaka kiedykolwiek pojawiła się na Ziemi, dostała się na którykolwiek z tych światów, przyglądanoby im się tam z szyderską ciekawością i uważano za szczególniejszy egzemplarz potworności dziwactw przyrody; zarówno i my dostawszy się na ten świat nam

obcy, zaledwie wierzylibyśmy naszym oczom i uważalibyśmy za potwory najpiękniejszych mieszkańców niebieskiego takiego świata.

Ale jakiekolwiek są ich kształty i postacie, ludzkości te istnieją, żyją, działają i myślą i istnieć będą jeszcze gdy ostatnia powieka ludzka zamknie się na naszej planecie... bo w niezmierzoności istnieje życie nietylko powszechne ale wiekuiste.

Tak, życie powszechne roztacza się nad naszemi głowami: planety czy gwiazdy wy jesteście światami, gromadami światów, systemów, wszechświatów, i z głębi dzielących nas przestrzeni przewidujemy waszą ludność, nieznane grody i narody po za ziemskie. Mieszkańcy nieba przestają być dla nas mytem; teleskop ułatwia nam z nimi stosunki; spektroskop dozwala rozebrać powietrze którem oni oddychają; aerolity przedstawiają nam składowe części ich gór; widzimy przyrodzone granice ich narodów, a oni zapewnie dostrzegają nasze. Któż może wiedzieć co nam gotuje przyszłość? Kto wie czy może wkrótce nie będziemy mogli znosić się z nimi za pomocą telegrafów równie zadziwiających jak te, za pośrednictwem których teraz już możemy cichym rozmawiać głosem z jednego na drugi koniec świata?...

Pojmujemy teraz istnienie wszechświata, wydostaliśmy się z otchłani ciemności, rozumiemy dźwięki niezmierzonej harmonii, i z niezachwianem przekonaniem, opartem na pozytywnych dowodach, ogłaszamy tę prawdę niezachwianą. Życie rozwija się nieskończenie w czasie i w przestrzeni, jest ono powszechne i wieczne; zapełnia oddźwiękiem swoim *nieskończoność* i panować będzie przez wieki wieków, przez wieczność całą.

Oto pogląd Flammariona o możliwej zamieszkalności planet, a jakkolwiek przekonania i przypuszczenia swoje opiera on na danych naukowych i tak obecnie jak od najdawniejszych czasów podzielało i podziela je wielu uczonych, jednak nigdy zapewnie nikt nie zdoła ich niezbicie dowieść ani zaprzeczyć. Któż zresztą może zakreślić granice wszechmocności Boga, który jak z nicości wyprowadził nasz system słoneczny, tak jednem „stań się“ mógł stworzyć ich tysiące w niezmierzonej niebios przestrzeni. Maluczki nasz rozum nie jest w stanie pojąć myśli o miryadach światów rzuconych w bezgranicznej niezmierzoności, na których panowałoby życie i istniała ludzkość, ale cóż jest niepodobnego dla Stwórcy wszechświata?...

Przegląd literacki.

Jan Śniadecki, jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce przez D-ra M. Straszewskiego. Kraków 1875.

W świetnej epoce rozwoju nauk i oświaty na ziemiach dawnej Polski, epoce rozkwitu uniwersytetu wileńskiego, w szeregu wielu imion zasłużonych, nazwiska obu braci Śniadeckich wydatne zajmują miejsce. Działalność Jędrzeja Śniadeckiego, lekarza i fizyologa, była skromniejszą i rozgłos jej mniejszy, za to Jan Śniadecki, mąż wszechstronnej nauki, astronom, matematyk, naturalista i filozof, przez czas długi rektor uniwersytetu wileńskiego, a więc kierownik naukowości i szkół w znacznej części kraju, zyskał szeroką sławę i pamięć u potomności. Obecnie, w ostatnich latach, owa sława i pamięć doczekały się osobliwszego losu; niedojrzali [illegible]wiści tutejsi, zasłyszawszy nieco o Śniadeckim, i o tem że cenił wysoko drogę doświadczeń zmysłowych w naukach przyrodniczych (czyż było i mogło być kiedykolwiek inaczej w dziedzinie tych nauk?), jęli głosić, że Jan Śniadecki to ojciec pozytywizmu, patryarcha wszystkich niedowarzonych niby pozytywnych teoryi. Wielki uczony i światły działacz nie spodziewał się pewno tego zaszczytu i wątpimy czy byłby się przyznał do tłumu, mieniącego się jego uczniami. W obec takich niespodzianych pretensyi pozytywistów i usiłowania zaćmienia pamięci Śniadeckiego, kilku badaczów wzięło się do sprawdzenia tej otrąbywanej przez pozytywistów opinii, do sprawdzenia u samego źródła, to jest na podstawie własnych pism i działalności Śniadeckiego. Rezultat tych badań (w pracach pp. Skorskiego i Straszewskiego) był taki, że pozywiści raz jeszcze skłamali i raz jeszcze dowiedli, że lubią wydawać sądy i opinie, dla siebie dogodne i bez znajomości rzeczy, o której rozprawiają: pokazało się bowiem, że żaden z pozytywistów chyba nie zna pism Śniadeckiego, gdyż myśliciel ten wyraźnie i stanowczo występuje jako przeciwnik skrajnego empiryzmu (wierzącego ślepo w świadectwo zmysłów), materyalizmu i pozytywizmu, jednem słowem, wszelkich skrajnych teoryi przeczących, których okrawki, pozbierane z trzeciej ręki i z niedokładnego słyszenia, stanowią właśnie tak zwany pozywizm warszawski. Z tego względu wzmiankówane prace, a szczególniej niniejsze dzieło p. Straszewskiego, gruntowniejsze i zupełniejsze od wspomnianej rozprawki Skorskiego, ma dla nas wielki interes i jest na dobie. Postaramy się więc w krótkości i jak najprzystępniej zapoznać czytelników z treścią i wywodami tego dzieła.

Już na samym początku autor ubolewa nad zaślepieniem tych, którzy posądzali Śniadeckiego o owe skrajne kierunki; do takich uprzedzonych należeli nawet ludzie bezstronni jak Bartoszewicz i Struve, z czego skorzystali również pozytywiści, powołując się na świadectwo tych pisarzy, do obozu swego nie należących. Dla wykazania że Śniadecki nie był takim, autor szczegółowo przechodzi naprzód dzieje jego własnego kształcenia się naukowego w kraju i zagranicą. Z tego bardzo zajmującego obrazu, który jest biografią Śniadeckiego, ale tylko biografią naukową. z pominięciem rzeczy czysto prywatnych, widać że wielki mąż od wczesnej młodości wystrzegał się wszelkich krańcowych poglądów, że badał wprawdzie rozmaite sprzeczne teorye i kierunki, ale nigdy nie ulegał długo ich wpływowi. Trzeźwy i szeroki umysł Śniadeckiego umiał godzić przeciwieństwa i miarkować je wpływem żywiołów tradycyjnych i narodowych, którymi był cały przejęty. Badał on rozmaite nauki: nietylko matematyczne, które obrał sobie za fachową specyalność, ale także umiejętności przyrodnicze, historyą, filologią i filozofią, gdyż potępiał ciasną o niczem po za sobą niewiedzącą wyłączność, a wymagał natomiast, aby każdy człowiek, mający pretensyą do wykształcenia, ogarniał w całości i związku jak można najwięcej wiadomości. Śniadecki sam uczył się u pijarów, jezuitów, i w akademii krakowskiej; poznał filozofią scholastyczną i ocenił jej cechy dodatnie; podobnież poznał panujące podówczas teorye sensualizmu Lock'a i francuzkich encyklopedystów i starał się przyswoić z nich tylko strony dodatnie. Był to umysł tak zwany *eklektyczny*, to jest umiejący wybierać zewsząd to co najlepsze, a wybrane i zebrane porządkować w jedną udatną całość, zgodnie z duchem krajowym, z puścizną tradycyi i wymaganiami obywatelskiemi. Już niezwłocznie po doktoryzacyi (1776) Śniadecki zaczął wykładać w Krakowie algebrę dotychczas tam nieznaną. Następnie, jako profesor szkoły nowodworskiej w Krakowie, działał w myśl ustaw Komisyi Edukacyjnej i jej członka, a swego przyjaciela reformatora szkół rządowych Kołłątaja. Komisya Edukacyjna wymagała ażeby nauczyciele przede wszystkiem starali się dać uczniom wykształcenie ogólnie ludzkie, to jest nie z luźnych wiadomości bezładnie złożone, lecz organicznie i filozoficznie w jedną całość połączone, prowadzące do szerszych poglądów, wyrabiające charakter i ducha obywatelskiego. W tym celu Komisya po raz pierwszy wprowadziła do szkół umiejętności przyrodnicze i starała się słusznie osłabić przesadę w wyłącznem panowaniu łaciny; był to więc realizm, ale realizm rozumny, zapobiegający szkodliwej jednostronności. Po powrocie z zagranicy 1781 r. Śniadecki został w uniwersytecie krakowskim profesorem astronomii i matematyki, ale największy jego rozgłos i najpożyteczniejsza działalność datują od epoki, gdy przeniósł się do Wilna.

Autor obszernie rozbiera działalności i zasługi Śniadeckigo na polu nauk ścisłych, jego poglądy literackie i filozoficzne, przytaczając ciągle własne jego wyrazy z rozmaitych dzieł jego, mów i rozpraw. Dla braku miejsca, nie możemy iść krok w krok za autorem w jego gruntownej i wyczerpującej pracy; dotkniemy więc tylko tych punktów, które oczyszczają Śniadeckiego od zarzutu sensualizmu i pożytywizmu. Przedewszystkiem więc przypomnijmy, że sensualizm panujący w wieku XVIII uznawał za prawdziwe to tylko, co pod zmysły podpada, nie wierzył w odrębne istnienie ani w nieśmiertelność ducha, uważał religią za niedorzeczny wymysł ludzki. odrzucał wiarę w Boga, utrzymując że wszystko dzieje się tylko w skutek ślepej konieczności, nie uznawał żadnych wrodzonych człowiekowi pojęć ani nawet zdolności rozumowych, tłomacząc nawet sam rozum, jako spotęgowany skutek wrażeń zmysłowych. Doświadczenie empiryczne czyli świadectwo zmysłów jest dla sensualizmu wszystkiem; innych doświadczeń on nie uznaje i to wszystko, czego nie widzimy, nie słyszymy, czego dotknąć się ani powąchać ani skosztować nie możemy, nazywa wymysłem i nieistniejącym fałszem.

(*d. n.*)

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

[illegible] ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 19 (31) Января 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Opis do N. 4.

(Dokończenie).

N. 40. Poduszeczka do szpilek. Mozajka z kolorowej materyi.

Dwanaście kwaterek z kolorowej materyi stanowi mozajkę zwierzchnią na którą mogą być zużytkowane najmniejsze resztki materyi. Każdą kwaterkę stanowi skośny kwadracik tektury 3 ½ cent. długi, pokryty materyą szeroko podwiniętą pod spód; na środku kwadracików wyszyte są gwiazdki kolorowym jedwabiem, poczem łączy się z sobą wszystkie dwanaście części krytym szwem od spodu, zostawiając jeden bok niezszytym, przez który poduszeczka napełnia się drobnym szrutem lub piaskiem i dopiero zaszywa do końca. Wzdłuż szwów i na około gwiazdek wpięte są szpilki czarne i białe których łebki także stanowią przyozdobienie poduszeczki.

N. 41. Książeczka do igieł.

Dwa kawałki kanwy papierowej po 7 cent. długie a 5 ½ szerokie złączone paskiem materyi i podszyte materyą kolorową, stanowią zwierzchnią oprawę książeczki, na której kolorowym jedwabiem krzyżykami wyszyta jest ramka z monogramem w pośrodku. Środkowe kartki składają się z kawałków flaneli białej, wyciętych z brzegów w ząbki. Książeczka związuje się końcami z wstążki.

N. 42. Woreczek na nici i guziczki.

Woreczek opatrzony z boków kieszonkami, 12 cent. długi a 10 szeroki, uszyty jest z szarego płótna i ostębnowany kolorową wypustką. U góry ściąga się na sznur z kwastami.

N. 43—44. Opis w N-rze 3.

N. 45—46. Pantofle. Haft z podkładaniem.

Materyał: bronzowe sukno; reps jedwabny zielony w czterech cieniach, takiż aksamit (cień średni); jedwab kordonkowy zielony i bronzowy w trzech cieniach; papier; guma rozpuszczona.

Na tle z bronzowego sukna wyszyty jest deseń ściegiem luźnym, łańcuszkowym i supełkowym jedwabiem bronzowo-drzewnym do cieniu. Efektowne przyozdobienie stanowią liście z repsu i aksamitu, przyszywane ściegiem sznureczkowym; jak to widać na ryc. 45, każda połowa listka jest innego cieniu. Materyę i aksamit trzeba podkleić papierem listowym, aby brzegi liści nie siepały się przy wycinaniu; połowę przednią pantofla podaje ryc. 45, dalszy ciąg deseniu łatwo ułożyć podług ryc. 46 przedstawiającej całość w maleńkim formacie.



N. 1—2. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—4-a.

Opis do N. 5.

N. 1—2. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na dodatku N. I, Fig. 1—4-a.

Przedstawiony z przodu i z tyłu, na ryc. 1—2 płaszczyk odrobiony z mięsistego wełnianego materyału, jest obłożony futrem lub oszyty piórami i zapina się z przodu na ozdobne szmuklerskie agrafki. Części formy podane w naturalnej wielkości trzeba podług zmniejszonego formatu dopełnić na długość i szerokość. Podług Fig. 3 kraje się w jednym ciągu zwierzchnią i spodnią połowę rękawów, które wszyte są w pachę podług odpowiednich liter (przyłożywszy D do D); krój wązkiego stojącego kołnierzyka załącza Fig. 4. Wszystkie szwy od spodu podszyte są tasiemką lub listewką; brzegiem rękawów i przodów dana jedwabna listewka 6—8 cent. szeroka.

N. 3—9. Serweta. Kratki ażurowe, siatka gipiurowa, haft ściegiem sznureczkowym, i łańcuszkowym. Deseń na dodatku Fig. 27—28.

Materyał: płótno mocne w dobrym gatunku; ponsowa i szafirowa bawełna do haftu N. 20; tejże grubości biała kręcona bawełna (do ściegu sznureczkowego) nici N. 40 (na siatkę gipiurową), wałeczek średniej grubości.

Tło i szlak serwety odpowiedniej do nakrycia stołu przy herbacie, mającej 106 cent. średnicy, robią się oddzielnie dla tego też najlepiej zaczynać od szlaku, złożonego naprzemian z kwadratów gipiurowych (ryc. 7) i kwadratów wyszytych ściegiem sznureczkowym a następnie wprawić tło środkowe mające mniej więcej 50 cent. w kwadrat. Kwadraciki wyszyte ściegiem sznureczkowym ozdobione są w około brzegów kratką ażurową, jak na ryc. 5.

Deseń wyszycia na tle serwety podaje Fig 27 i 28; szlaczek otaczający kwadrat środkowy i brzegi tła załącza ryc. 4. Na rycinie 6 widzimy frendzlę ozdobioną szerokim nagłówkiem z kratek ażurowych, ozdobionych wyszyciem; w równych odstępach przeprowadzone są nitki kolorowe ładnie odbijające od białego tła frendzli.

N. 10 i 26. Kasetka rzeźbiona z drzewa.

Rzeźba naśladuje proste klocki drzewa z sęczkami; długość kasetki 56 cent., objętość 106 cent. wynosi, środek kasetki zdobi pas roboty krzyżowej, 14 cent. szeroki odrobiony podług części de seniu załączonej na ryc. 26.

N. 11—14. Modne buciki.

N. 11. Trzewik balowy ozdobiony haftem. Strojny balowy trzewiczek z białego atłasu, ma z przodu i z tyłu wyhaftowane gałązki kwiatów jedwabiem do cieniu; koloru tego co suknia.

N. 12. Trzewik balowy z elastyką. Rycina 12 przedstawia trzewiczek ze skórki mieniącej się złotawo, którego cały przód jest ażurowy i odsłania pończochę jedwabną. Ta forma praktyczniejsza jest od poprzedniej, bo lepiej utrzymuje się na nodze.

N. 13. Bucik spacerowy z elastyką. Dolna połowa bucika jest z nieprzemakalnej skóry psa morskiego, cholewka zaś jest z kozłowej skórki. Z przodu dodane kwasty jedwabne.

N. 14. Bucik spacerowy z boku zapinany. Odrobiony na ponsowem suknie i podwójnej podeszwie, formą wysokich węgierek, zapina się z boku na guziki; futrzane obłożenie przykrywa zapięcie.

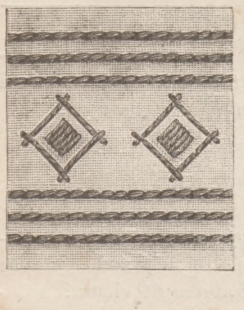
N. 15—16. Ząbki szydełkowe.

N. 17—19. Spódniczka i majtki flanelowe i pończochy jedwabne.

Krótka, kliniasta spódniczka i majtki z szafirowej flaneli ozdobione 9 cent. szorokiem plisowaniem, na które spuszczona biała niciana koronka 7 cent. szeroka, przyszyta plisą z wypustkami z białej flaneli. Długość spódniczki wynosi 66 — 70 cent., dolny obwód 190 — 200. Pończochy przedstawione na ryc. 17 są z jedwabiu tego co flanela koloru ozdobione wyszyciem jedwabiem białym.

N. 20—21. Spódnica z trenem wszyta w długi karczek. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 44—48-a.

Pod obcisłe suknie najdogodniejsza jest spódnica taka jak na ryc. 20. Znacznie przedłużony z tyłu karczek, zapinany na guziki, u góry wszyty w listewkę do ściągania, daje się z podwójnego materyału. Fig. 44 na arkuszu z krojami załącza formę karczka w naturalnej wielkości, Fig. 45 podaje przedni bryt spódnicy zaokrąglony w górze, którego całkowity wymiar wskazany na zmniejszonym formacie Fig. 45-a. Jak to widać na zmniejszonym formacie Fig. 45-a—46 na przód spódnicy trzeba wziąść bryt całkowity a dla otrzymania potrzebnej szerokości dolnej dodają się kliny boczne, oddzielone linią podwójną. Prosty, u dołu tylko nadpuszczony bryt tylny (Fig. 46) i skośnie ścięty wolant (Fig. 57) podaliśmy tylko w małym formacie, z wypisaniem miar całkowitej szerokości i długości. Połączenia trzech części spódnicy Fig. 44—46 dopełnia się podług odpowiednich liter; górny brzeg przodu od a do gwiazdki wszyty jest gładko między podwójny karczek, od gwiazdki do b jest trechę nadmarszczony. Część spódnicy tworząca wolant (Fig. 47 przedstawia połowę) marszczy się w górze od krzyżyka do dwukropka i przyszywa na spódnicy w miejscu oznaczonem na formie linią prostą; szew przykrywa przystębnowana



N. 4. Szlaczek do ryc. 3.

pliska. Dolne przybranie spódnicy składa się z falbany 12 cent. szerokiej. ozdobionej haftem angielskim, z wszywki haftowanej 5 cent. szerokiej wszytej między dwa paski przeszyte sznureczkiem Przybranie to z przodu dane na spódnicy, dalej idzie napowietrzu brzegiem wolantu. Fig. 48—48-a na arkuszu z krojami załączają desenie na haft angielski.

Rycina 21 przedstawia pasek z trzema wszytemi sznureczkami, dany z brzegów wszywki.

N. 22. Suknia princesse z draperyą. Krój jak do ryc. 1 i 2 w N-rze 1.

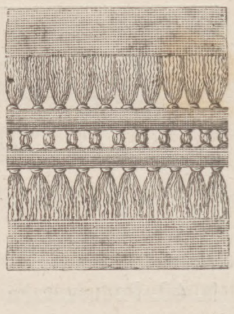
Aksamitna princesse ciemnego koloru, ma przody w połowie długości zapięte na dwa rzędy guzików; na tylnym zupełnie gładkim brycie z jednego boku odznaczony jest ranwers, przypięty guzikami. Draperya przechodząca przez przód i boki, składa się z dwóch prostych. zachodzących na siebie częś-



N. 3. Serweta.—Haft sznureczkowy i łańcuszkowy, kratki ażurowe i siatka gipiurowa. Patrz ryc. 4—8 i na arkuszu Fig. 27—28.

zielonym kordonkiem.

N. 24. Królik jako poduszeczka do szpilek. Krój na arkuszu N. XIII, Fig. 58—60.



N. 5. Kratka ażurowa do ryc. 3.

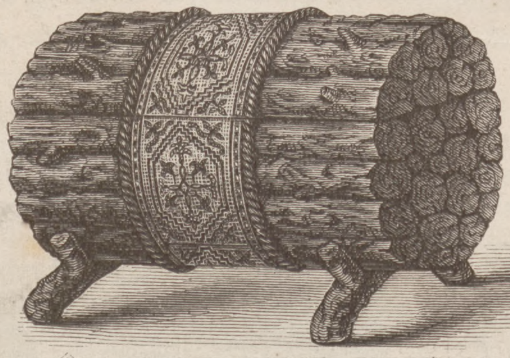
Do odrobienia królika potrzeba grubego wełnianego materyału z długim włosem, najopowiedniejszy na to może być stary kastorowy kapelusz. Fig. 58 daje formę połowy korpusu i łebka; po dopasowaniu dwie połowy zszywają się z sobą, zostawiając tylko kawałek niedoszyty dla wypchania królika watą; fałdki zaszywa się w miejscu oznaczonem krzyżykami. Dwie duże czerwone perełki stanowią oczy; pyszczek odznacna się kilkoma ściegami ponsowej włóczki, wąsiki są dodane z włosia. Uszy przykrajane są z podwójnego materyału podług Fig. 59, założone w fałdkę i przyszyte do łepka w miejscu oznaczonem literą t; ogonek przyczepia się w podobny sposób. Królik przyszywa się po zupełnem wykończeniu od r do s na wierzchu patarafki, oszytej z brzegów sutą trawką z włóczki zielonej; fig. 60 po-



N. 13. Bucik spacerowy z elastyką.



N. 11. Trzewik balowy haftowany.



N. 10. Kasetka rzeźbiona z drzewa. Patrz ryc. 26.



N. 12. Trzewik balowy z elastyką.

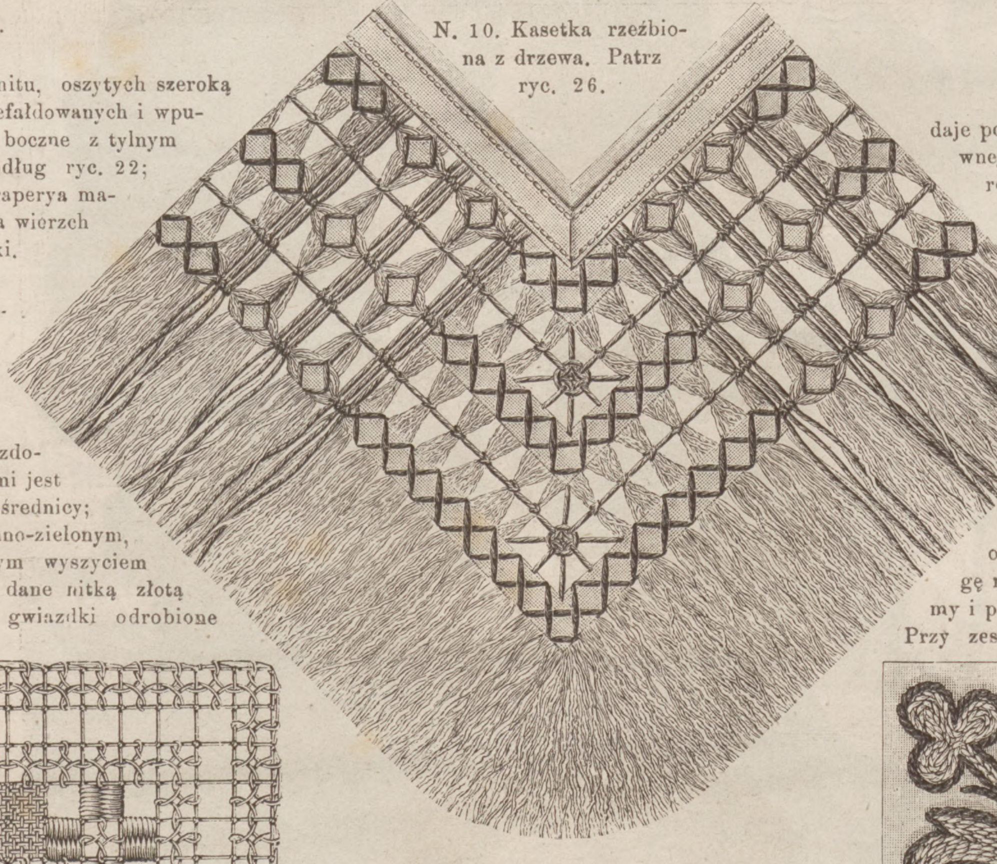


N. 14. Bucik spacerowy z boku zapinany.

ci, z materyi jaśniejszej od aksamitu, oszytych szeroką frendzlą clair de lune zręcznie przefałdowanych i wpuszczonych w szwy łączące kliny boczne z tylnym brytem. Kokardy dodają się podług ryc. 22; rękawy wązkie i gładkie z tej co draperya materyi. Szeroki kołnierz i długie na wierzch założone mankiety z bogatej koronki.

N. 23. Podnóżek. Haft na aksamicie wytłaczanym w deseń (velours frappé). Patrz ryc. 1 w N-rze 6.

Podstawa drewniana podnóżka, ozdobnie złocona, z niziutkiemi nóżkami jest 10 cent. wysoka i liczy 26 cent. średnicy; wypukłe wysłanie pokryte jest ciemno-zielonym, deseniowym aksamitem, ozdobionym wyszyciem podług ryc. 1 w N-rze 6. Żyłki dane nitką złotą przeszywaną czarnym jedwabiem; gwiazdki odrobione

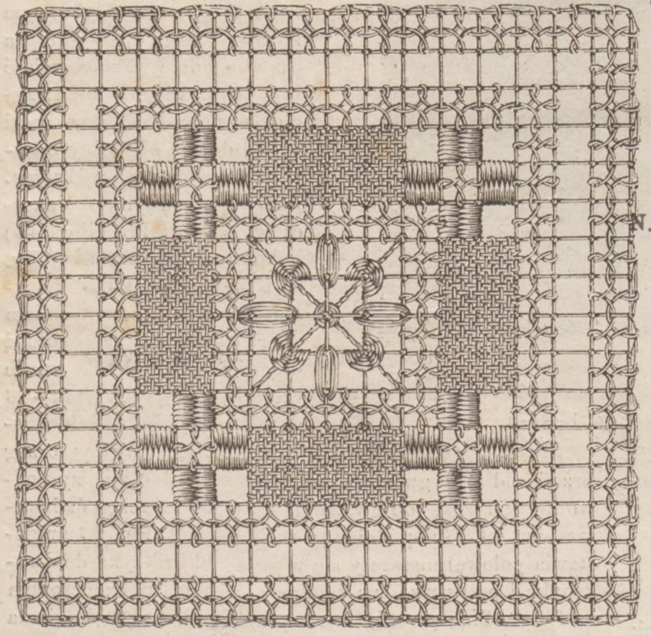


N. 6. Frendzla z nagłówkiem z kratki ażurowej do ryc. 3

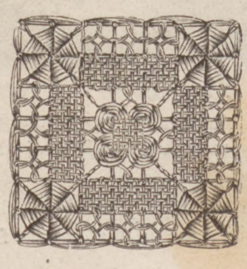
daje połowę patarafki, którą trzeba wyciąć ze sztywnej tektury i pokryć suknem zielonem. Trawka robi się gładko tam i napowrót na drutach, wilży gorącą wodą, prasuje bardzo gorącem żelazem, przecina wzdłuż i pruje na frandzelkę.

N. 25. Gorset z paskiem. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 36—43.

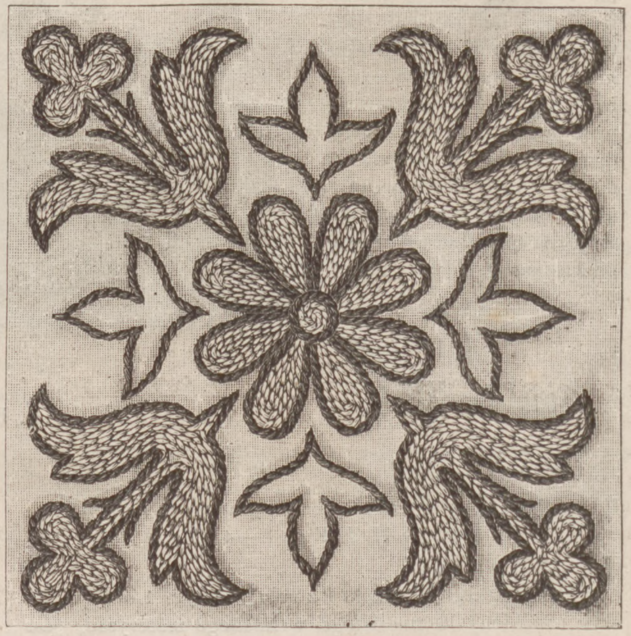
Gorset jaki przedstawiliśmy na ryc. 25 jest bardzo praktyczny dla osób dobrej tuszy; ma przody znacznie u dołu przedłużone i dopełnione paskiem z dwóch części, który można mniej lub więcej obcisnąć. Krając gorset potrzeba zwracać uwagę na kierunek nitek oznaczony na częściach formy i przypuszczać z brzegów 1 cent. wszerz na szwy. Przy zeszywaniu brzegi szwów idą na prawą stronę i są



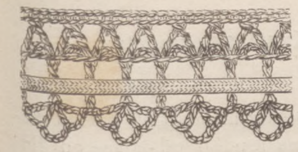
N. 7. Kwadrat z siatki gipiurowej do ryc. 3.



N. 9. Kwadrat z siatki gipiurowej do ryc. 3.



N. 8. Kwadrat wyszyty ściegiem sznureczkowym do ryc. 3.



N. 15. Ząbki szydełkowe.

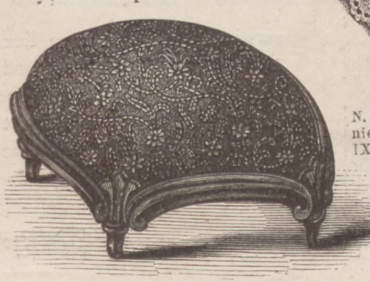
zwierzchu przestębnowane. Do wsunięcia fiszbinów trzeba przystębnować tasiemki $2^1/_2$ cent. szerokie, u dołu i wzdłuż po dwa razy przestębnowane; takież tasiemki idą wzdłuż przodów dla wsunięcia brykli. Przy brzegach tylnych gorseta naddaje się po 5 cent. na dziurki do sznurowania i szersze fiszbiny.

Dwie połowy paska przyszyte są do przodów u dołu przy brykli od gwiazdki do R, w końcach mają dodane sprzączki, zapinające się na tasiemki po 16 cent. długie. Dolny brzeg gorseta jest objęty kolorową wstążką; u góry dane przyozdobienie z koronki i wszywki podwleczonej kolorową wstążką.

N. 27—28. Oszycie do bielizny.

N. 29—30. Taboret w który zarazem można składać drobiazgi lub negliżyki. Wyszycie na deseniowym aksamicie.

Odpowiedni do postawienia w pokoju kobiecym lub sypialnym, okrągły taboret, służyć może jako pudełko na drobiazgi, do złożenia jakiejś roboty, lub t. p. Na pokrycie użyty ciemno zielony w deseń wytłaczany aksamit, ozdobiony wyszyciem ze złotego sznureczka i kordonku ponsowego i niebieskiego, próbkę wyszycia w naturalnej wielkości załącza ryc. 30. Lambrekina 12 cent. szeroka, wycięta u dołu w zęby po 9 cent. szerokie a po 5 głębokie, oszyte grubym sznurem i ozdobione kwaścikami.



N. 23. Podnóżek: haft na aksamicie (velours frappé). Patrz ryc. 1 w N-rze 6.

N. 31. Opis w N-rze 6.

N. 32—33. Suknia z długiem vêtement. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 30—35-a.

Rycina 32 przedstawia przód sukni z popielatego neige, rycina 33 podaje takąż suknię z czarnego kaszmiru; do przyozdobienia obydwóch służą czarne aksamitne plisy 5 i 8 cent. szerokie i 11 cent. szeroka jedwabna frendzla. Suknia kaszmirowa ma rękawy i kołnierz także z aksamitu. Spódnice ozdobione dwoma plisowanemi falbankami po 10 cent. szerokiemi.

Przody vêtement (Fig. 30) dopełnione zwierzchu plastronem (Fig. 33) od dołu są z sobą zszyte a u góry zapięte na haftki, mogą być, jeżeli na to szerokość materyału pozwala przykrojone w jednym ciągu z bokiem (Fig. 31) gdyż przód i bok łączą się z sobą prostemi brzegami od gwiazdki.

Jak to widać na ryc. 33 do lewego boczka dodana jest prosta przecięta część, tworząca rodzaj festonu dochodzącego do środka pleców i odznaczona linią kropkowaną w zmniejszonym formacie kroju Fig. 31-a. Długość i szerokość vêtement wymierza się podług liczb wypisanych na Fig. 30 a—35-a.

Przody przy zszyciu z boczkami, (albo jeżeli są krajane razem to w miejscu gdzie szew wypadał) od dolnego brzegu do 100 cent. w górę, są przemarszczone tak iż całkowita długość wynosi 131 cent., boczek prawy marszczy się wzdłuż tylnego brzegu, a lewy w takimże kierunku, tak aby część dodana przy nim, została po. za zmarszczeniem. Plecy łączą się szwem z boczkami; z lewej strony brzeg pleców przyszywa się od B na 88 cent. wzdłuż pod dodaną do boczka częścią która przecięta jest poprzecznie w miejscu oznaczonem na formie podwójną linijką; górna jej połowa oszyta garnirunkiem idącym od przodów, sfałdowana w miejscach oznaczonych krzyżykami, przypięta jest wielką kokardą do pleców, dolna przybrana w jednym ciągu z brzegiem vêtement, założona u góry w jedną fałdę, przyszyta jest górnym brzegiem do pleców vêtement. Szerokość zbywająca między dwoma częściami pleców zakłada się od spodu w kontrafałdę. Plastron dodany wzdłuż przodów, którego formę załącza Fig. 33, jest z jednego boku ozdobiony plisą 5 cent. szeroką a z drugiego objęty wypustką oszyty plisowaniem i w połowie długości zapięty na guziki.



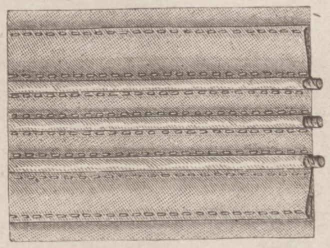
N. 16. Ząbki szydełkowe.



N. 17—19. Spódniczka i majtki flanelowe i odpowiednie pończochy.



N. 20. Spódnica z trenem wszyta w pas znacznie przedłużony z tyłu. Krój na dodatku N. IX, Fig. 44—48-a.



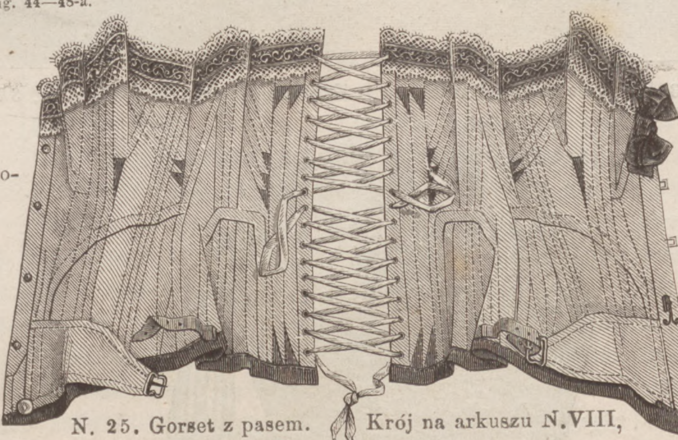
N. 21. Wszycie sznureczków do ryc. 20.



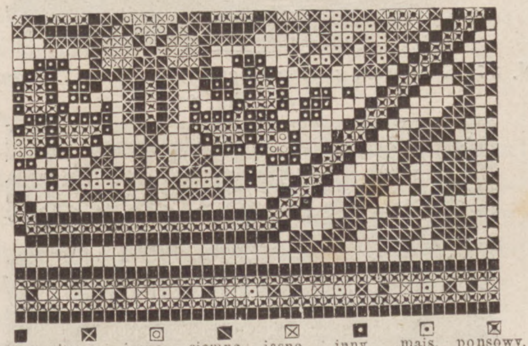
N. 22. Suknia princesse z szalową draperyą.



N. 24. Królik jako poduszeczka do szpilek Krój na arkuszu N. XIII, Fig. 58—60.



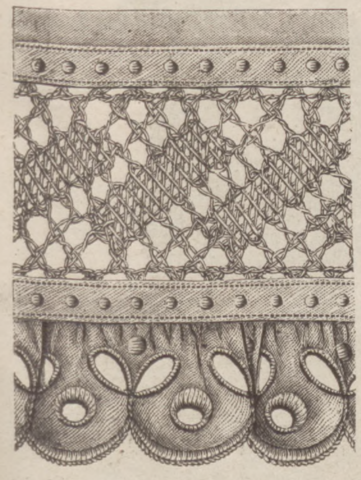
N. 25. Gorset z pasem. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 36—43.



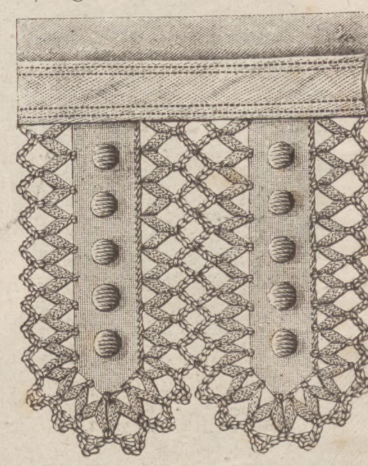
N. 26. Deseń do wyszycia na kanwie do ryc. 10.

N. 34—35. Stanik wycięty z bawetem. Krój na arkuszu N. II, Fig. 5—8.

Na ryc. 34 widzimy śliczny staniczek z bawetem, do sukni balowej z różowego tarlatanu, przerabianego nitką złotą, którego przybranie u dołu schodzi się szpiczasto, podług formy bawetu a w górze na ramionach przeprowadzony jest na kształt bretelek. Składa się ono z wszywki koronkowej podwleczonej aksamitem i z ruszy układanej z tarlatanu. Fig. 8 daje formę rękawków zwierzchu pokrytych bufką przepinaną paskami aksamitu. Rycina 35 podaje wzór stanika do sukni z kolorowej materyi faille; kwadratowy wykrój szyi otacza ruusza jedwabna 10 cent. szeroka, z brzegów na 2 cent. wysiepana, ułożona w drobniutkie kontrafałdy.



N. 27. Oszycie do bielizny. Wszywka niciana, pliski i haft.



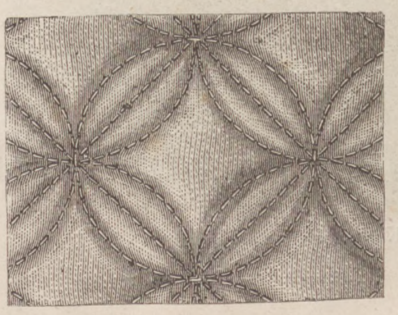
N. 28. Oszycie do bielizny. Paski haftowane, otoczone tasiemeczką w ząbki obrobioną szydełkiem.



N. 30. Wyszycie na aksamicie deseniowym do ryc. 29.



N. 29. Taboret służący zarazem jako pudło na negliżyki, drobiazgi, robotę i t. p. Patrz ryc. 30.



N. 31. Pikowanie tła do ryc. 10 w N-rze 6.

Środkiem riuszy dany skos materyi, 8 cent. szeroki, przepinany węzłami w równych odstępach, a na ramionach przytrzymany kokardami.

N. 36. Wszywka.

Pasek mocnej ażurowej torsadki, obrobiony jest z dwóch stron trzema rzędami roboty szy-



N. 34. Stanik wycięty z bawetem do sukni wieczorowej. Krój na arkuszu N. II, Fig. 5—8.

dełkowej. W pierwszym rzędzie * zajmuje się w pikot torsadki 5 sł., 1 ó. pow. i znów 5 sł., dalej dwa pikoty torsadki spojone są 1 o. śc. Powtarzać od *. Drugi i trzeci rzęd roboty objaśnia dostatecznie rycina.

N. 37. Koszyczek z woreczkiem, na drobiazgi lub t. p. Deseń wyszycia załącza Fig. 29.

Koszyczek pleciony z trzciny, 16 cent. wysoki, a 105 mający obwodu, przeznaczony na brudne kołnierzyki, drobiazgi lub t. p. dopełniony jest od góry przyszytym woreczkiem, z prostego kawałka szarego płótna, 38 cent. długim, na którym kolorową włóczką wyszyte są arabeski podług Fig. 29. Do ściągania służy sznur z kwastami.



N. 32—33. Suknia z długiem vêtement. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 30—35-a.

N. 39. Kapelusz aksamitny.

Wizytowy kapelusz aksamitny koloru ciemnego-cardinal ma rondko odstające od głowy, podgarnirowane atłasem tego samego koloru. Zwierzchnie przybranie składa się z czterech pukli z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej, z wierzchu ciemnej od spodu jasnej

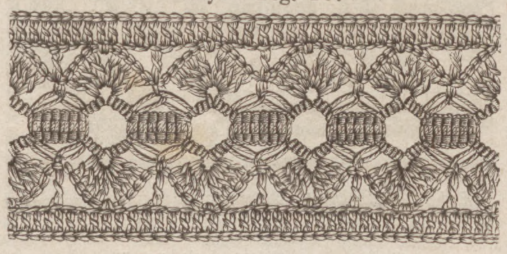


N. 35. Stanik wycięty z bawetem do sukni wieczorowej. Patrz ryc. 34.

cardinal (pukle krótsze liczą po 9 dłuższe po 13 cent.) z bukietu róż cardinal cieniowanych i z ciemnego strusiego pióra. Końce z wstążki atłasowej z boków przytrzymane są stalowemi klamerkami i związane fantazyjnie.



N. 37. Koszyczek z woreczkiem na drobiazgi. Deseń wyszycia Fig. 29.



N. 36. Wszywka z torsadki i roboty szydełkowej.

N. 38. Kapelusz filcowy.

Model koloru oliwkowego miał rondko lekko podniesione z jednej strony i całe od spodu podszyte nadmarszczoną materyą która wysuwała po za brzeg rondka. Na podniesieniu rondka przypięty bukiecik bladożółtych róż; wierzch główki przybrany ciemniejszą wstążką serge 6 cent. szeroką i dwoma strusiemi piórami.



N. 38. Kapelusz filcowy.



N. 39. Kapelusz aksamitny.